

PISMO DLA RODZIN.

№ 9. Warszawa, dnia 20 Lutego (4 Marca) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

FIAT LUX!

Wieku, co wieńcem prawdy zdobisz skronie,
Czemu żądz tyle nosisz w swojem łonie?
Czemu myśl ludów twych boleścią blada,
Tyle nam łzawych dziejów wypowiada?
Czyż przodków twoich dłoń silna, zuchwała,
Mało ponurych grobów usypała,
By wśród dni łzawych błysły szczęścia kwiaty,
Czego potrzeba? Mów! . . . .
. . . . — Ludu oświaty?

Wieku!—ty wsparty prawd zdobytych zdrojem
Skronie narodów rosisz pracy znojem,
Ale te świętą karmicielkę ziemi
Wielu odtrąca dłońmi leniwemi —
I pogrążone w ciemności bez końca,
Gdzie nie zabłyśnie światło prawdy słońca,
Blade te tłumy, wśród losów swawoli,
Daremnie jasnej oczekując doli,
Z umysłem dziecka, a uczuciem zwierza
Pełzną, nie wiedząc, gdzie ich droga zmierza,
Wśród smętnej życia nędznego kolei,
Bez łzy radości, bez jutrzni nadziei...
By uszlachetnić dzikie piersi bicie,
Rozjaśnić myśli, uszczęśliwić życie,
By w pracowników zmienić tych szatanów,
Czego potrzeba? Mów! . . . .
. . . . — Wiedzy kapłanów!

Gdy tam u dołu, gdzie niedoli tyle,
Blask wiedzy dzikie rozproszy ciemności,
Gdy nędzy mara spocznie już w mogile,
Gdy szczęścia biały anioł tam zagości,
Ujrzawszy jeszcze cienie, mgłą zaćmione,
„Fiat lux!"—krzykną tłumy odrodzone.

A ty, olbrzymie, wieku nasz wspaniały!
Jakiej po wieńcach tych zażądasz chwały,
I w dążeń swoich zdobyczach bez końca,
Czego zapragniesz? . . . .
. . . . — Coraz więcej słońca!

Antoni Pilecki.

Warszawa 1875 r.

ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWÉJ.

OBRAZEK
Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez Felicyjana.

(Dokończenie)

Słuchając tej całej logiki, Jerzuś o mało się nie spalił ze wstydu.

— Wszystko to prawda (na nieszczęście bardzo spóźniona) — ależ matce zrozpaczonej trudno w takich okolicznościach morały prawić. Ona spyta po prostu: — czy i jakie przedsięwzięto środki, aby jej jak najprędzej zbłąkane dziecko powróconem zostało? — tak z cicha wybąkał wreszcie strapiony, zaledwie wiedząc co mówi.

A urzędnik mu na to:

— Przepraszam pana, ale już dla tej sprawy czasu więcej nie mam. Owej pani powiedz pan krótko i węzłowato: że tak jak córkę rozumem własnym dla pociechy swojej wychowała; tak niech jej sobie teraz tymże samym rozumem własnym, po szerokim świecie szuka. —

Ha! ha! na człowieka tak nieśmiałego, tak dziwnie śmiałe wypowiedzieć słowa! — toćże, jak wiemy, Jerzuś nigdyby się na to nie zdobył. Bądź jak bądź, nie było co dłużej w policyi popasać — więc odszedł stamtąd jak zmyty.

ROZDZIAŁ XIX.

Hekuba matka zbolała.

Pani Marcinowa tymczasem, pod Bociana przybywszy, tak samo nie zastała tam Agatki jak i wprzódy. Szerokiemi kroki chodził tylko po izbie pan Jacenty, nadzwyczaj niespokojny o swoje dwadzieścia pięć rubli — tem bardziej: że Julka popatrzywszy z zezowatym Wickiem przez wszystkie możebne szpary we drzwiach na górze, zaręczała uroczyście: że w mieszkaniu pana Edwarda nic a nic już nie ma. Co ona gada? — Spiesznie dobrano klucza, i kiedy z jego pomocą podwoje owe zaklęte otwarto — w istocie — o zgrozo! okazały się tam tylko cztery puste kąty.... i piec piąty (tak dodała zamyślona Migdalska).

— Jak się to stało? kiedy? którędy?

— Ho! ho! już to coś ze trzy dni — rzekł stróż na dole. — Schodami żydzi znosili — także widziałem...

— I niceś nie gadał?

— *A bo*ście mię się pytali?

— Ależ ośle, żeby się było wiedziało —

— Ja tam plot*ków* żadnych nie lubię. Swojego patrzę — a wy także patrzcie swojego...

W tej chwili nadszedł Jerzuś. Wszyscy jednocześnie ku niemu poskoczyli.

— A cóż panie Jerzy?

Ten się w głowę poskrobał. — Co tu powiedzieć?

— A nic — rzekł z odwagą — zatelegrafowano — rozesłano na wszystkie strony — ale dotąd ani śladu.

Pani Marcinowa, w popędliwości swojej, była tego zdania: że Jerzuś powinien był natychmiast sam pobiedz, wyszukać, przytrzymać. — Ale dokąd? co? jak? — To z resztą ona sama poleci duchem, narobi wrzasku, nawygraża pięścią — cóż to znowuj — do palarusa — przyznam się — tego —

Mówiąc to, rozpłakała się ogromnie, a następnie przysięgła uroczyście: że na mszę da, że krzyżem leżeć będzie, że siedm niedziel odpości, byle tylko Edwarda dyjabli *wzieni*. Migdalska zasnęła tymczasem.

— Więc on uciekł! — jęknął pan Jacenty.

— To jest — jak się zdaje — znikł nagle — rzekł Jerzuś.

— Z mojemi pieniędzmi — westchnął mąż stanu.

— I z mojemi — dorzuciła Magdusia ręce łamiąc.

— I z butami — miał ochotę dodać Jerzuś, ale nie dodał — bo cóż to wszystko w porównaniu ze stratą Agatki?

— A czy on wam chociaż zapłacił za mieszkanie, pani siostro? spytał badająco pan Jacenty.

Pani Marcinowa zrobiła się jak burak czerwona.

Nie tylko że nic nigdy nie zapłacił, ale jeszcze i zadatek mu oddała, i różnemi czasy poprzypożyczał, i jeszcze brał na kredyt bułki, masło, serdelki, drzewo i świece.

— A co? nie mówiłem? nie ostrzegałem? Ale cóż? nie było z kim gadać. Wszystkim się zaraz znakomicie podobał panicz z szykiem! Jednak mnie on w pole nie wywiódł. Tak — tak — człowiek przecię jestem nie dzisiejszy — i (tu się jakoś w język ukąsił) — to jest właśnie chciałem powiedzieć: że stanowisko moje często mi z podobnemi ludźmi czynność nastręcza. Tacy wszędzie massę długów za sobą zostawiają, i jeszcze z cudzemi pieniędzmi drapnąwszy za granicę, takowe potem przegrywają w Sitzbadenie (chciał powiedzieć w Wiesbadenie).

— Albo i w Humbugu — dodał trwożliwie Jerzuś.

— W Hamburgu chcesz zapewne powiedzieć panie tego — poprawił go z góry pan Jacenty (ale i to miało być w Homburgu).

Pani Marcinowa smutnie pokiwała głową.

— Żeby zaś mnie tak oszukać, com na tem wszystkiem zęby zjadła!

— Zęby własne jeść — rzekła budząc się Migdalska — znaczy szczęście i bogactwo...

— Co mi tu asani gadasz? krzyknęła zapalczywie pani Marcinowa. Jakie bogactwo? że mi przeszło trzydzieści rubli ukradł? Jakie szczęście? że mi moje dziecko porwał? — Cóż to ja może Agatki nie pilnowałam — czy co? albo ją źle wychowałam, albo jej jakie fumy w głowę kładłam? — Jeżelim co takiego kiedy zrobiła, to niech mi to *kużden* publicznie na oczy wymiecie — i niech mię co najprędzej powieszą, albo niech mi kat na rynku głowę upiłuje — albo niech mi się stanie co dziwnego — bo już doprawdy — et — to dopiru!.. —

Tu płakała czas jakiś — potem dodała:

— Ten Edward — to bodaj z piekła nie wyjrzał!

— Panicz z szykiem — rzekł pan Jacenty — kobiety za takiemi się przepadają.

— Ale nie moja Agatka! — zawołała z wybuchem pani Marcinowa. Mogą sobie drugie, ale ona wiedziała że jej ojciec był w znaczeniu, i że ma wujów — i jeszcze kuzyna — co przecię — tego. — Ja oto gardło moje daję pod nóż tępy: że ona, żeby tylko mogła, toby już dawno piechty wróciła — ale ten zbereźnik wywiózł ją gdzieś aż na koniec świata, — a tu sprawiedliwości człowiek próżno szuka — ja powiedam. — Cóż ja mogę sierota biedna, sama na świecie szerokim jak palec oto, opuszczona wdowa? — czy ja się pójdę bić ze wszystkiemi? Nikt mi w niczem pomódz nie chce! — Pewnie krzyczała w niebogłosy, broniła się jak mogła — kruszyna moja — ale co tu i gadać! — człowiek samemi wrogamy otoczony. Jak Boga kocham — żeby mię choroba ogarnęła — tak doprawdy, ja jej nie przymuszałam. Sama chciała iść za niego — wiedzą wszyscy i nawet sam Pan Bóg z Nieba wysokiego. Gwałtem ją porwał, jak jaki dziki zwierz, albo jak ten smok siarczany — nieszczęśliwa moja godzina!..



— Dzie pochwalony... Cy to tu pod bocionem?..

— A wie matuchna co? — rzekła Julka targając ją za suknię — mnie się widzi: że Agatka wszystkie swoje rzeczy ze sobą zabrała.

— A co? nie mówiłam: że się to wszystko źle skończy — wyrwała się na to Magdusia.

Pośpieszono rzecz sprawdzić na miejscu. Jako żywo — skrzynka nawet nie była zamknięta — a w niej — o rety! pustki same, wszystko wybrane aż do dna. I nigdzie ani kolczyków, ani broszki, ani paska nabijanego, ani nawet szarfy, której używała tylko od wielkiego święta!

Pani Marcinowa osłupiała.

— To on jeszcze i Agatkę okradł aż do ostatniej koszuli! Nie, takiej zbrodni, to najstarsi ludzie nie pamiętają od początku świata!

Nie wiadomo dokładnie: jakie pojęcia miała pani Marcinowa, bądź to w przedmiocie rodzajów zbrodni, bądź odległości początku świata, — rzeczą jest tylko pewną: że właśnie w tej samej chwili, Migdalska nachyliwszy się do Jerzusia:

— Ja to już dawno mówiłam — szepnęła mu w ucho. Bo to ten sen co to Agatka w nim jechała — to jest nie we śnie, ale w karycie — i jak to ona rewizorowi dała dukata, który umarł — (chcę mówić rewizor), to dla tego, żeby jej nie rewidował. Więc tu pokazało się...

Tak tedy, jak się patrzy, oprócz Jerzusia, nie było nikogo, coby tych rzeczy zdawna nie przewidział; z czego zarazem wnosić się godzi: że może nawet Julka, puszczając kiedyś bańki z mydła z chłopakami od Pietrzyckiej...

— Pietrzycka! a! otóż rozpacz ostatnia! Drzwi szczelnie zamknąć. — Julka niech pilnuje na progu! Brakłoby tylko: żeby jeszcze Pietrzycka o tem wszystkiem języka zasięgnęła!

Niespokojność pani Marcinowej nie znalazła granic. Przywidziało jej się: że kiedy koło rogu przechodziła, to i głupia straganiarka „bez wychowania, baba wygadana“ krzywo jakoś na nią spójrzała, i coś bąknęła pod nosem, co także znaczyć mogło: — a co? nie mówiłam? — Maglarka także ramionami ruszała, a co się tyczy kupca korzennego z przeciwka, to ten udał nawet że jej nie widzi...

Drzwi tedy bacznie opatrzono, i wtedy pani Marcinowa nabrała większej otuchy.

— Bywały różne nieszczęścia — ale żeby zaś takie, jak to które ją spotkało — to trzeba na to osobliwego dopuszczenia ze strony Boga Najwyższego — za co? ona nie wie — bo przecież niech zaświadczą wszyscy: że jej sumienie jest jak szkło czyste — zaczem też idzie: że ona wszystko to święcie aż do końca wytrzyma. Rzeczą jest jednak niewątpliwą; że ponieważ ten Edward (niech go cholera!), jak się pokazało, Agatce wszystkie rzeczy ukradł; więc ta ostatnia tem prędzej do domu wróci, a może tylko poprostu za niemi w pogoń się udała. To sobie mówiąc, już, już, bliską była chwilowego uspokojenia — kiedy w tem wszedł do sklepiku... ale o tem w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ XX.

Bobkowy liść w kształcie listu, czyli ciasto Cerberowe.

... Kiedy w tem wszedł do sklepiku chłop jakiś z kwiczącem prosięciem w worku. Julka do niego wybiegła.

— Dzie pochwalany! Cy to tu pod Bocionem?

— A juści. A co to ociec chcecie?

— Nie kupilibyśta se prosięcia?

— Idźcie do grzycha. Myślicie że tu braknie kłopotu?

Na to przybyły dobył z zanadrza kawałek papieru zalepiony opłatkiem.

— A od kogo to? spytała pani Marcinowa.

— A to proszę Imości z Pietrzkowa.

— Nie znam tam nikogój. Chyba omyłka.

— E nie, proszę Imości. To jak ta *kroko* mokottywa — cy jak ją tam — ta massyna, wiecie — to jak już rusiała z mieńsca tak tu ktoś woła: „gospodorzu“ — tak jo oberżałem się na ławie. — „Do Warsiawy jedzieta?— A ino. — A to weźta to pisanie“ — i powiedzieli mi gdzie sukać. — Tak ja wzionem—bo mi powiedali dze Imość prosię kupią...

— Ale któż wam dał ten list?

— Panna wej, cy pani —

— Agatka! A co? nie mówiłam?

W ten sposób, równie jak drudzy, nieomylność swą stwierdziwszy, pani Marcinowa porwała list, i zaczęła co prędzej oddzierać opłatek, ale ręce latały jej jak w febrze. Potem jęła się szukać okularów — ale się gdzieś zapodziały. Potem się i okulary znalazły, ale znowu raz wraz spadały jej z nosa. Nareszcie i to się załatwiło — cóż kiedy znowu łzy przeszkadzały jej czytać. Co prawda — czytanie zdawna wyszło jej było z użycia, i gdyby nie książka do nabożeństwa, którą i tak już na pamięć umiała....

Jerzuś ofiarował się z pomocą.

— Co też tam pisze to moje dziecko ukochane jedyne? pewnie żeby po nią przyjechać.

— To powiedziawszy, obtarła się fartuchem, i poczęła połykać wraz ze łzami słowa listu jedynaczki.

Pismo zawierało w sobie co następuje:

„Kohana Madtko

Jezdem tu bardzo Mi sie podobało, Miasto ńe take Dórze iak Warszawa mnieńsze a ratuż jaky wielgi iego wuia nima żad Nego ale Edwart iest bidny i pszeszladowany i ia jego nie opustrzę i ya iego Ba Bardzo go koham cham, kópioł my boa i zygareg i muwi że muwił mamie że bede Miedź karyte i końe to niech się Mama nie boy tancowałam Tu w ogrutku to tak jak w tej Woli i kupiuł my tagże perły i bede yag ta dama w perłach Co oni Xąszkę czytałam ale ko Lejom yadondz to dali yak do Skerniewidz na tych fogzalah to drogo asz strach do widzeńa, z madtką Bo psziyade karytom

Naiukohansza curka
Agata Phlaczińzka“

— Jakto? Flaczyńska?

— Tak—

— I już wszystko?

— Jeszcze dopisek:

„Bende się uczydź po francózku i gradź Na fortytypiyańe f Krakowe.“

— W Krakowie! — zawołał pan Jacenty, — gonić! łapać! — Sam idę na policyję — tu nie ma co czekać dłużej. —

To powiedziawszy, zabrał się i wyszedł śpiesznie, a kiedy to czynił, kwiczało prosię w worku, a chłop domagał się żeby mu dać wódki. — Za co? za tak złą wiadomość?— czegóżbyś zażądał za dobrą?— Podobnież wódki, tylko w ilości dorównywającej stopniowi uciechy. — O dobroduszny kmieciu, jakżeś jest dziwnie zabawny facetus! Wódka powiadasz, równie dobra w radości jak w smutku? Niestety! gdyby tak było, to i pani Marcinowa w niejby znaleść powina ukojenie — tymczasem jak wiemy, ponczyk nawet powabny, i to w warunkach wcale przeciwnych, w boleść ją tylko bezdenną pogrążał!

Dajcie jej pokój — ona już nawet nie wie na jakim jest świecie. Zdrętwiała, przestała płakać, i tylko duma pochmurno — ale jakoś w głowie jej się mąci. Nareszcie, w pośród ciszy ogólnej mówić zaczęła z wielkiem postanowieniem, z niezachwianem, silnie wyrażonem, któremu nie ma się co sprzeciwiać.

— Ot tak będzie najlepiej. Ona już nie ma żadnej córki na świecie! Nie, nie ma! Precz z Agatką! niech jej nikt więcej o niej ani wspomni. O! czemu już lepiej nie umarła! ona czy Agatka — wszystko to jedno. Gdyby ona, toby ją wywieziono na Powązki, przez te same rogatki, przy których znajduje się ów domek z napisem: „pobór myta drogowego,“ od czego zawsze na dwoje rozpada się jej serce. Nieszczęśliwa wdowa! sierota sama jedna! Życie jej już zbrzydło, i ten sklepik oto z wiktuałami, i wolałaby być głęboko w ziemi świętej schowaną, w czterech deskach zbitych z prostego drzewa — choć się zawsze nadzwyczaj obawiała letargu...

Z pewnością nie wszystko przytomnie mówiła; więc też skończyło się na tem: że musiano ją rozebrać i do łóżka położyć. To ją zimno przejmowało, to znów gorąco.

Kiedy z nią wszystko to robiono, gadała jeszcze: — że na dobrą sprawę pan Jacenty powinien by pozwy doręczyć, ale i tak rzecz nie stracona, bo od czegóż Wikary? On Edwarda publicznie wyklnie z ambony w samych Kozienicach — co zaś do podleśnego.... Ale tu już wyraźnie myśl jej zbłąkała się jak w lesie, i żadną miarą nie mogła trafić na gościniec rozsądku.

Przyzwany doktór, oświadczył: że dostała tyfusu. Niebawem też do reszty straciła przytomność.

I bardzo dobrze się stało; bowiem gdy jej przyszło bańki stawiać, lód kłaść na głowie, synapizma na podeszwy, nie kto inny to czynił tylko Pietrzycki — żona zaś jego, wiekowej urazy nie pomna, spełniała przy niej usługi, którym już ani Julka, ani nawet Magdusia, połączonemi siły, nastarczyć nie były w możności.

Co do Julki, to odtąd, czas dość długi, próżno oczekiwali jej na placyku dawni zabawy towarzysze. Próżno: to kiwali na nią z daleka, to podchodzili kusząc ją z cicha, to wreszcie zaglądali do niej, na szybach sobie rozpłaszczając nosy. Gdzie jej tam było teraz o psich figlach myśleć! Bowiem dziwną losu ironiją, wpośród ciszy, która jak makiem gwarne wprzódy życie izdebki owej zasiała, zegar tylko z wagami, miarowem cykaniem głuche przerywał milczenie. I podczas kiedy od dołu ciągle się wahał zagadkowo, na podobieństwo niby życia biednej chorej, — liczbami zapisane oblicze jego, poważnie zamyślone wyglądało. O czem? Czy przypadkiem nie o Bocianie z nad wejścia, który się podjął przynosić dzieci? Istotnie, zdawać się mogło: że on, czasu mając dużo, bez końca tylko, dla nauki przyszłych pokoleń, wygłasza o nim szyderską przypowiastkę, którą niańki bawić zwykły usypiające niemowlęta:

Kum! kum! kum! kum!
— Był tu kto? —
— Pon Bocion —
— A wzion co? —
— Dziecko wzion.
— A płakaliśta?
— Płakali.
— A jak?
— Ot tak:
Rade! Rade! Rade! Rade! —

ROZDZIAŁ XXI.

Nec locus, ubi Troja fuit.

Pani Marcinowa przebyła całe dwa tygodnie, bliższa śmierci jak życia. Gadano nawet: że już umarła; — ale właściwie, był tylko u niej na wypadek, ksiądz od Augustyjanów z wijatykiem.

Nareszcie życie przemogło, i chora poczęła zwolna wracać do przytomności. Że jednak po godzinach całych dumała i dumała, na wszystkie zaś pytania odpowiadała tylko: „Boże mój! Boże! — nie mam już córki — co ja teraz pocznę!“ — znalazł tedy doktór: że chyba trawić ją musi cierpienie jakieś moralne, na które z Apteki próżnoby dłużej wypisywać lekarstwa. To usłyszawszy, pan Jacenty, począł usilnie ją namawiać do podyktowania mu testamentu — ale z tego odniósł tylko tę korzyść: że naciągnięty i tak już poprzednio z siostrą stosunek, jeszcze mocniej ku szkodzie własnej naprężył. Magdusia radziła ze swej strony owczarza Augustynka (wyborny był na leczenie kołtuna), Migdalska zaś doświadczoną kabalarkę, ktora od razu zgadnie: gdzie się Agatka podziała. Tymczasem Jerzuś, nie zasięgając rady niczyjej, poprostu pojechał do Kozienic i przywiózł Wikarego.

Sam już widok tej głowy rodu, dziwnie panią Marcinowę orzeźwił. Wypłakała mu wszystko, wyspowiadała się, przykładnie przeprosiła Pana Boga, i w końcu wysłuchała z pokorą następnej nauki:

— Moja siostro — nie mówże więcej tego grzesznego słowa: że nie masz już córki. Nie możesz jej nie mieć — nie powinnaś — nie masz prawa. Czy wróci kiedy, czy nie wróci, i jakąbądź wróci — zawsześ jej matką — a na poprawę, nawet marnotrawnemu synowi, nie było zapóźno. Jeśli ci jednak na razie, do obowiązku macierzyńskiego tak bardzo tęschno i do własnej w tym względzie na przyszłość poprawy, — to wszak przyjęłaś w dom twój sierotę — weźże ją sobie za córkę.

To gdy powiedział, pani Marcinowa porwała Julkę, i z całej duszy do serca przycisnęła płacząc. Ale w tem uchyliły się ostróżnie drzwi od sklepiku — ukazał się w nich nos zasmolony, i głos jakiś zdyszany rzekł z cicha:

— Julka—chodźże—latawca puszczamy...

W następstwie, dowiedziawszy się o przybraniu Julki za córkę, pan Jacenty, tem mocniej począł nalegać o testament — ale tego już było zanadto. Pani Marcinowa zdobyła się na słowa prawdy, gorzko starszemu bratu

wymiatając na oczy: sobkostwo, obojętność na sprawy rodzinne, zbyteczne o sobie rozumienie — tak, że z tych przykrych wyjaśnień rodzinnych, wypadło dla niego nadal w domu siostry (słowami Julki rzecz wyrażając) nie tylko „położenie pod psem" ale i „zatracone stanowisko" i w ostatku został całkiem „w trąbę puszczony." Że jednak umysł wyższy — jak wiemy — w porażkach nawet nie tak łatwo zwątpieniu przystępny bywa, tedy w stracie pieniężnej, ćwiartka losu loteryjnego, dostateczną panu Jacentemu okazała się być pociechą; w osłabieniu zaś znaczenia, posada komornika, której mu, znajomy dependent od adwokata, przy kuflu nigdy nie szczędził. Z czego jest jasno jak na dłoni: że choćby nawet (jak twierdzi Horacy) świat cały w posadach swoich zatrzeszczał — człowiek, w zadowoleniu z siebie, czerpie jeszcze otuchę, odpowiednią wewnętrznej swej wartości.

ROZDZIAŁ XXII.

Zakończenie.

Na tem zawiesimy tymczasem powszednią powieść naszę o świetnych widokach, na które przez oczy łzami zamglone patrząc, już się nawet wyraźnie przedmiotów nie rozróżnia — zaledwie ogół ich tylko — ale i to w szarym zmroku, jak gdyby słońce sprzyjać im przestało. Tymczasem, słońce tu jak tam zarówno świeci, tylko że człowiek radby nieraz, Jozuego (nawet nad słońcem) władzę mieć sędziowską — a to nie każdemu dano. Ziemia się toczy — my z nią — to darmo.

Przypatrzmy się oto Jerzusiowi. Upływają dni — miesiące — lata — on zawsze jednaki. Bywa tak: że na trójnogu swoim (jakbądź wcale nie Delfickim) siedząc, nad szydłem które w ręku trzyma ciężko się zamyśli: — Są ludzie, którym szydło nawet goli. — No — tak zapewne — ale na to, trzeba mieć śmiałość, zamiast brzytwy tego szydła użyć — a on taki trwożliwy!..

Ha! ha! — śmiałkom szczęście sprzyja — bywa jednak: że ich i psy kąsają!

Magdusia, z postępem czasu, wyschła jeszcze dotykalniej, następnie spaczyła się w plecach, i do reszty wyżółkły jej lica. Szukając polepszenia losu, (ile że męża na żaden żywy sposób znaleść jej się nie udało), kupiła sobie maszynę do wytłaczania ząbków i szlarek u spódniczek modnych, i byłaby nawet na tych widokach świetniej od pani Marcinowej wyszła, gdyby nie pomysł niespodziany, którym najtkliwszych swoich przyjaciół (ani nawet wiedząc: czemu?) na cztery wiatry rozniosła. W szybie bowiem jej zakładu, na ćwiartce tektury, bardzo staranie wykalligrafowany, świetniał napis następny:

„Tu wybijają zęby rozmaitym sposobem."

Co się tyczy Agatki — to do niej zastosować by można słowa, które w przystępie rozsądku, wyrzekł niegdyś nie mądry pewien, znany nam Kacperek: — „Cnota, której trzeba pilnować, nie warta jest pilnowania." Może to trochę za surowo — ale jak wiemy rozwinęły jej się skrzydła. Czy aby anielskie? wcale przeciwnie. Raczej to liche skrzydełka ćmy latającej omackiem, które łatwo opalić przy lada łojówce...

Jednak, ostatecznie jeszcze nie rzucajmy na nią kamieniem. Kto wie? może się jeszcze kiedy z nią spotkamy...

Zanim to jednak prędzej czy później nastąpi, słówko jeszcze do wasani szanowna pani Marcinowo:

— Niedola jest jako wilk chciwy na cudze. Nie należy go tedy samochcący wywoływać z lasu, żeby sobie po niewczasie nie potrzebować mówić z marnym żalem, jak owe baranięta w ludowej piosence:

Wilczek nas pokąsał,
Jeszcze się natrząsał
Kudłami
Nad nami! —

KONIEC.

WYCHOWANIE LUDU,

PRZEZ
Emila Laveley'a
przełożył
Ludwik Szteinbok.

(Dokończenie.)

ROZDZIAŁ V.

O przedmiotach wykładanych.

Zadaniem nauki a raczej edukacyi jest przedewszystkiem wzmacnianie i podnoszenie uczuć moralnych oraz rozwijanie sił ciała i umysłu.

Edukacyja powinna być moralna, intellektualna i fizyczna. Główne przedmioty nauki stanowi religija i moralność, chociaż wychowanie religijne powinno być zostawione księdzu, nie zaś nauczycielowi.

Nauczyciel świecki powinien uczyć moralności, tak jak w Niderlandach i Stanach Zjednoczonych, nauka ta jednak nie powinna się zasadzać na wyuczaniu na pamięć pewnych formułek lub katechizmu moralności, lecz na tem, żeby wielkie idee tyczące się Boga, obowiązku, miłości bliźniego i braterstwa, pokory i godności ludzkiej, przechodziły z serca nauczyciela do serc uczniów jednocześnie z nauką, a to przez przykłady, opowiadania, przez każde słowo wpadające w ucho dziecka, i to stanowi właśnie najtrudniejszą część nauki. Szkoły normalne przedewszystkiem powinny się starać, o przygotowanie nauczycieli do takiego umiejętnego nauczania.

Ważną jest niemniej rzeczą wyuczyć dobrze czytać i pisać. Niektórzy mówią, że to nic jeszcze nauczyć czytać i pisać, zapominają bowiem że to jest instrument — klucz przy pomocy którego nabywamy wiadomości. Zwyczajny program obejmuje prócz tego jeografiję, rachunki i system metryczny. Radziłbym dodać jeszcze niektóre ogólne wiadomości o prawach i obowiązkach obywatela, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych, a nawet w niektórych miastach belgijskich, możnaby także uczyć wiadomości z hygieny *) ekonomii domowej i robót ręcznych dla dziewcząt, ogólne pojęcia o agronomii, główniejsze fakty historyczne, a przedewszystkiem niektóre biografije, wrażające silnie w umysły typy chrześcijan, patryjotów, wynalazców, fabrykantów, turystów i marynarzów. Wiadomości te nie powinny stanowić specyjalnej gałęzi nauki, udzielanej pedantycznie, z obciążaniem pamięci dziecka. Dostatecznem będzie gdy nauczyciel przeczyta co i objaśni. Można tu naśladować Saksoniję i księstwo Badeńskie, używając przedewszystkiem metody intuicyjnej albo też nauczania przez spostrzeganie.

Nie można również zapominać o śpiewie i rysunkach linijnych. Co się tyczy śpiewu, znakomity wzór przedstawiają nam szkoły niemieckie. Przez należyty wybór melodyi i słów, otrzymuje się potężne wychowawcze narzędzie. Trudności nie powinny nas wstrzymywać, a nawet przejrzawszy metodę froeblowską, można się przekonać, że takowych nie ma wcale.

Dla rozwijania sił fizycznych, potrzebną jest też i gimnastyka, ćwiczenia z bronią i nauka pływania. Prawie wszędzie, tak jak w Filadelfii, możnaby urządzić dla szkół początkowych notatorium to jest szkołę pływania. Nigdzie tak dobrze nie zrozumiano wychowania jak w Grecyi, gdzie wszyscy obywatele, nawet filozofowie i poeci poświęcali pewną część dnia, na ćwiczenia gimnastyczne. Bardzo byłoby korzystnem zastosować dzisiaj przykład starożytności.

ROZDZIAŁ VI.

Ogólne zasady praw dotyczących początkowej nauki.

I. Nauczanie jest bezpłatne i przymusowe.

II. Koszta wychowania ponoszą gminy. Państwo i prowincyja udzielają zasiłek, w stosunku liczby uczniów uczęszczających regularnie do szkoły i opuszczających takową z dostateczną nauką.

W stosunku do wartości będących w posiadaniu gminy ruchomych i nieruchomych majątków, ustanawia się podatek szkolny.

III. Każda gmina obowiązaną jest tyle szkół otwierać, ile ich dla mieszkańców potrzeba. Ojciec lub opiekun niemogący pomieścić w szkole miejscowej czy to chłopców, czy dziewcząt, ma prawo żądać od gminy wynagrodzenia strat. Władza najwyższa jest wmocy zobowiązać gminę do powiększania liczby szkół lub klas, w stosunku 1 klasa na 60 lub 70 uczniów.

IV. Państwo utrzymuje szkołę normalną lub kursa normalne (pedagogiczne) w liczbie odpowiedniej dla dostarczenia dostatecznej liczby nauczycieli.

*) Książka we flamandzkim języku, przetłomaczona i oddana nauczycielowi, uczyniłaby wykład hygieny nie tylko łatwym lecz interesującym także. Tytuł jej Gezondheisleer (hygiène) C. Fredericy 1868 r.

V. Władze szkolne stanowią: nadintendent nauki początkowej, minister odpowiedzialny lecz bez teki, inspektorowie prowincyjonalni i okręgowi, mianowani przez intendenta, komitet szkolny miejscowy, wybrany przez wyborców gminnych.

VI. Nauczyciela mianuje komitet miejscowy z listy 3-ch lub 6-ciu kandydatów, sporządzonej przez inspektora. Nauczyciel nie może być oddalony jak tylko na zasadzie wyroku, przez sąd specyjalny wydanego. Kto nie posiada patentu uzdolnienia, wydanego przez sąd egzaminu specyjalnego, nie może uczyć w szkole publicznej.

VII. Oprócz stałego wynagrodzenia, którego minimum prawo oznacza, a które z latami służby powiększa się, nauczyciel pobiera zapłatę od uczniów, opuszczających szkołę z dostatecznem wykształceniem. Ma on także prawo do emerytury.

VIII. Przedmioty wykładane są następujące: czytanie i pisanie, język ojczysty, rachunki, jeometryja elementarna i system metryczny, jeografija i historyja, wiadomości z fizyki, chemii, hygieny i ekonomii wiejskiej, ekonomija domowa i roboty ręczne dla dziewcząt, śpiew, rysunki, gimnastyka i ćwiczenia wojskowe. Przedewszystkiem używa się metody intuicyjnej — nauczania przez spostrzeganie. Głównem zadaniem kształcenia jest rozwijanie uczucia moralności.

Nauka religii należy do księży i ku temu po za godzinami szkolnemi, klasy są do ich dyspozycyi.

Koniec.

ZARYSY
Guberníj północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

VI.
Gubernija Grodzieńska.

(Ciąg dalszy).

Grodno było przeważnie miastem sejmowem; tu bowiem najwięcej z Litewskich miast sejmów odbywało się, a August III dla pomieszczenia obrad krajowych i osoby królewskiej, wymurować kazał wspaniały zamek niedaleko starego zamku, nad Niemnem, z wielką izbą senatorską, później zaś (1775) przeniesiono tu kadencyją trybunału głównego litewskiego, jak również komisyja skarbowa litewska tu głównie odbywała swoje czynności.

Z tem wszystkiem Grodno należało do miast podrzędnych, a wcale nie odznaczało się ani świetnością, ani handlem i przemysłem, chociaż nad spławną rzeką położone.

Lecz właśnie mówiąc o Grodnie, przyglądając się zwaliskom i śladom dawnej wielkości w Horodnicy, stanowiącej część miasta, jak również o pół mili od Grodna w osadzie Łosośnie, z po za tych zwalisk i ruin występuje wspaniała, jenijalna, znakomita postać Antoniego Tyzenhauza, który jakże wyżej stał od wielu swych współobywateli z czasów Stanisława Augusta. Jakże drobnieje znów postać tego ostatniego, który zdolny był ocenić wielkość zasług swojego ministra, a nie był zdolny obronić go od potwarzy i najhaniebniejszej zemsty zawistnych. Temu to wielkiemu mężowi stanu Grodno zawdzięcza krótkotrwałą swą świetność, i to przeważne stanowisko z którego spływać miało na cały kraj polepszenie dobrobytu, szeroki rozwój handlu i przemysłu.

Jeszcze od czasów Zygmunta III-go Grodno przeznaczone zostało wieczyście na stół królewski. Utworzyła się przez to jedna z najbogatszych ekonomii królewskich, do niej bowiem wraz z dzierżawą Olicką należały miasteczka i majętności: Horodnica, Nowydwór, Ławno, Krynki, Odelsko, Krzeźnik, Kwasówka, Kuźnica, Kotra, Skidel, Wiercieliszki, Jeziory, Sałaty, Milkowszczyzna i Mosty, a wszystko stanowiło obszar niemały.

W r. 1765 Antoni Tyzenhauz mianowany został podskarbim nadwornym litewskim i starostą Grodzieńskim. Od tej to chwili zaczyna się i rola niezmiernie ważna, którą Grodno przez lat dziesięć przeszło odgrywało, jako środkowy punkt, obrany przez Tyzenhauza, dla swoich sprężystych działań, jako główne siedlisko w kraju sztuk, przemysłu i nauk.

Zaiste, na samo wspomnienie tych wszystkich olbrzymich przedsięwzięć, które ten jenijalny i niezmordowany obywatel dla dobra kraju chciał urzeczywistnić, zdumiewać się trzeba. Wyliczmy tu ważniejsze przynajmniej objawy tej działalności Tyzenhauza: 1) Wprowadzenie nowych reform w administracyi dóbr stołowych; 2) dla podniesienia rolnictwa w kraju praktyczne usposobienie do tego ludzi uzdolnionych i wysłanie na ten cel na 3 lata do Anglii, Downarowicza; 3) założenie szkoły *buhallerskiej* pod kierownictwem bardzo zdolnego rachmistrza Baranowicza; 4) założenie szkoły *weterynaryi* pod kierownictwem znanego profesora Giliberta sprowadzonego z Montpellier; ze szkoły tej utworzono później szkołę lekarską i chirurgiczną; 5) założenie szkoły *mierników* pod dyrekcyją doskonałego geometry Markiewicza; zadanie tej szkoły było nadzwyczaj ważne i pożądane w kraju, gdzie ziemie ekonomiczne były nieodgraniczone od obywatelskich, ziemie włościańskie nie wymierzone, a przez to pobieranie czynszów zależało od dowolności rządców bez najmniejszej podstawy gruntownej; 6) założenie szkoły *budowniczej*, podług planu i pod zarządem sprowadzonego z włoch Sacco; 7) utworzenie wielkiej *stadniny* dla poprawienia rasy koni i bydła; zakupienie do niej słynnej wówczas stadniny pociejowskiej, sprowadzenie z rozmaitych krajów zagranicznych rasowych owiec i bydła oraz ogierów z Brunświku i z Holsztynu; 8) urządzenie *instytutu położniczego*; 9) utworzenie przy ostatnim, jak również przy szkole lekarskiej *biblijotek* i *gabinetu* historyi naturalnej; 10) założenie *ogrodu botanicznego* na Horodnicy; a nie był to pośledni ogród, skoro najsłynniejsi oświeceni botanicy, jak Pallas z Petersburga, Jaquin z Wiednia, Solander z Anglii, nadsyłali doń najrzadsze rośliny; skoro ogrody w Kew, Chelse, edynburski i inne, dostarczali mu swych najsłynniejszych flanc, w zamian za udzielane im rośliny krajowe; 11) założenie *korpusu kadetów*, pod dyrekcyją inżyniera pułkownika Frechlicha; 12) założenie na wielką skalę *giserni*, która przez długie lata dostarczała wzorowe czcionki drukarniom warszawskim i wileńskim; 13) założenie *drukarni*, do której wcieloną została pozostała po Jezuitach drukarnia; 14) założenie *Gazety Grodzieńskiej* z której później szambelan Włodek utworzył *Kuryjera Litewskiego* a następnie *Wileńskiego*, isniejącego w Wilnie stale 115 lat, z wielokrotną zmianą programów, a także języka, pod redakcyją Włodka, Daniłowicza, Słowackiego, Marcinowskiego, Odyńca, Kirkora, Zabielina, Koszczyna, De Pula Poohla; 15) Wszystko to były środki niejako przedwstępne do urzeczywistnienia przewodnej idei: założenia *akademii nauk*, do której wszelkie przygotowania poczynione były, ale źli ludzie do skutku doprowadzić jej niedopuścili; 16) projektowane utworzenie *obserwatoryjum astronomicznego*, dla stosownego urządzenia którego przeznaczony był słynny matematyk jezuita ks. Narwojsz i w tym celu wysłany na lat 5 do Niemiec, Hollandyi i Anglii dla zakupienia instrumentów astronomicznych. Mówiliśmy dotąd o znakomitych pracach Tyzenhauza na polu przeważnie naukowem; lecz ileż to jest jeszcze rzeczy dokonanych, lub do których pierwsze kroki poczynione zostały na polu administracyjnem, rolniczem, handlowem i przemysłowem. Tak np. 16) Naprawianie i robienie nowych dróg i gościńców; 17) kopanie kanałów, osuszenie bagien i oczyszczenie Niemna (dokonane przez wspomnianego wyżej Narwojsza), budowę wielu mostów i urządzenie wygodnych austeryi; 18) budowa młynów; 19) założenie hut, garbarni, olejarni, piwowarń, i krupiarni i t. d. 20) założenie nowych fabryk i zakładów rękodzielniczych, jak np. założenie na Horodnicy: *fabryki bielizny stołowej* pod kierownictwem Jakóba Beca (ojca znanego profesora Augusta Beca) nieustępującej doskonałością swoich wyrobów hollenderskim; 21) *urządzenie blichów* i poruszanych wodą *magli* nad rzeką Łososną; 22) założenie *fabryki sukiennej*, która wyrabiała sukna tak cienkie, że płacono za nie po dukacie łokieć, co w owym czasie stanowiło wysoką cenę; 23) fabryki *muślinów, wyrobów jedwabnych*, jako to: wstążek, atłasów, aksamitów i t. d. 24) *fabryki wyrobów metalicznych*; 25) *fabryki powozów* (do zarządu fabrykami sprowadzeni byli ludzie fachowi z Anglii, Francyi i Niemiec) 26) *kantoru kupieckiego* pod dyrekcyją tegoż Beca, który prowadził znaczne interesa z zagranicznemi domami handlowemi; 27) urządzenie kilku składowych *magazynów fabrycznych*. To są tylko główniejsze prace i przedsięwzięcia Tyzenhauza dla ożywienia handlu i przemysłu, dla podniesienia rolnictwa, dla krzewienia nauk praktycznych. Lecz ileż to pracy i usiłowań szlachetnych w uregulowaniu stosunków włościańskich, w podźwignieniu ich z niedoli wiekowej, dla uporządkowania zarządu ekonomii i poskromienia nadużyć, które się wdzierały z biegiem czasu. Cały kraj przyklaskiwał reformom tak świetnym, tysiące ludu błogosławiło Tyzenhauza, a król zaszczycał szacunkiem i zaufaniem, biorąc najbliższy udział we wszystkich przedsięwzięciach Lecz właśnie ta wyższość moralna nie mogła niezrodzić zawistnych i niechętnych. Ci na-

wet, którym dobrodziejstwa wyświadczał, bezczelnie czyhali na jego zgubę, tajemnie wynajdując najnikczemniejsze środki, byle tylko obalić tę wielkość przez ogół uwielbianą. Złość ludzka chętnie nadstawia ucho, gdy chodzi o potwarz człowieka, któremu zazdrości. Potwarz ta rosła, aż w końcu ogarnęła kraj cały w kołach panów, senatorów i tych wszystkich, których duma i próżność upokorzone były zacnością i prawością człowieka, którego jenijusz, zaparcie się własnych interesów i poświęcenie dla dobra ogółu niweczyły dość długo pokątne knowania, intrygę i zabiegi nieprzyjaciół, przeciw którym tyle tylko zawinił że kochał kraj więcej od nich, że służyć mu umiał gorliwiej od nich, że miał siłę woli i ducha, przyprowadzać do skutku najświetniejsze pomysły, a te dążyły do utrwalenia dobrobytu kraju całego.—Intryga w końcu poszła górą. Bezsilny, słaby król, niewierzył potwarzom i oskarżeniom, kochał i wysoce cenił Tyzenhauza, a najwięcej może mu był wdzięczny za to, że dla niego urządził balet w Grodnie *) nie mógł jednak czy nie umiał godnie i zacnie stanąć w obronie swojego ministra.

Tworząc jednocześnie tyle nowych zakładów, zaprowadzając nową zupełnie organizacyją, Tyzenhauz pracował nad siłę, bo pomocników, którzyby jak on tworzyli nie miał; miał pomocników do wykonywania swoich olbrzymich zamiarów, sprowadził, jak widzieliśmy nie mało ludzi uzdolnionych z zagranicy, a czyż mógł mieć czas do śledzenia; kontrolowania czynności każdego, czy mógł wchodzić w biórokratyczne szczegóły, on, co tworzył bez końca, a nie mógł niezaufać tym, którym polecał wykonanie swych planów, których wyciągnął z ubóstwa i dobrodziejstwami osypał? Posiadaliśmy niemało papierów po Tyzenhauzie pozostałych, a w liczbie ich kilkaset listów jego własnoręcznych do rozmaitych osób. Listów tych bez podziwu i uwielbienia czytać niepodobna. **) One to dowodzą najoczewiściej potęgi tej organizacyjnej—tak rzadkiej u nas zdolności, która w jednym i tym samym dniu w tak różnorodnych sprawach umiała kierunek nadawać, złemu zaradzać, do działalności pobudzać, tamy usuwać, a wszystko zgarniać swym umysłem, być inicyjatywą wszystkiego i mieć czas do rozszerzania zakresu działalności, do co raz nowych planów, zawsze olbrzymich, których potrzeba znajomości kraju, rzeczy i ludzi ciągle nasuwała. Taki człowiek poprzestać nie mógł...szedł coraz dalej i dalej. Śród apatyi, samolubstwa, nadużyć wielostronnych, oddawna wkorzenionych intryg magnatów—taki człowiek stał jeden na czele swych przedsiewzięć i reform wielostronnych. Byli ludzie zacni i światli—fachowi, którzy pracowali w swoim zakresie. On, jako minister skarbu, musiał troszczyć się o dobro, a raczej o poprawienie podupadłej tak strasznie skarbowości; o polepszeniu bytu włościan ekonomicznych, o urządzenie dóbr, wprowadzenie na nowych podstawach zarządu wszechstronnego, a jednocześnie troszczyć się o rozkrzewienie handlu, przemysłu, rozpowszechnienie światła i nauki. Musiał być ekonomistą, technologiem, uczonym, artystą nawet.

d. c. n.

*) I balet był świetny na owe czasy, urządzony pod kierownictwem ucznia Vestrisa Ledoux. Była i orkiestra liczna i wzorowa z poddanych Tyzenhauza złożona, a przez mistrzów włoskich kształcona. Po upadku Tyzenhauza—o nich to król nie zapomniał i orkiestrę i balet na swój koszt przeniósł do Warszawy.

**) Dołączone one zostały do bogatego zbioru nader ważnych aktów i korespondencyj po Antonim Tyzenhauzie pozostałych w Postawach Rajnolda hr. Tyzenhauza.

PRZGLĄD WYSTAWY
TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH.
(Dokończenie)

„Zielone świątki" *Piechowskiego*, są jednym z lepszych obrazków rodzajowych, jakie znajdują się na wystawie. Spokojny nastrój postaci wchodzących do obrazka, charakterystyka bardzo trafna szczególniej zasługują na pochwałę. Rysunek przedstawia wnętrze chaty wieśniaczej. Młoda dziewczyna stroi okno i ściany w zielone listki brzozy, lub drobne zwoje ziół; izba pomieciona i uprzątnięta; przy łóżku siedzi wiekowa babka, zaplatająca jasne włosy klęczącego przy jej nogach dziewczęcia. Przez okienko widać wesoły uśmiechający się krajobraz, ożywiony zielonością łąk, zbóż, obfitych wód wiosennych i całem tem wiosennem weselem, które tyle ma uroku, że najposępniejszą okolicę, w cudowny widok zamienia. Do chaty jednak wchodzi niewiele światła przez wąskie okienko, skutkiem czego niektóre twarze zwłaszcza twarz staruszki, wychodzi prawie zupełnie ciemno.

A teraz powiemy kilka słów o p. Mireckim. Artysta ten odznacza się szczególnie romantycznym nastrojem wyobraźni, skutkiem czego najchętniej przedstawia postaci średniowieczne, nawet w tych obrazkach, które do historyczności najmniejszej nie mogą rościć pretensyi. Zamki średniowieczne, piękne damy, romantyczne wieczory przy blasku pochodni i księżyca, dalej pewne chwile uniesień i oczarowań niby zwiastuny rodzącej się miłości, stanowią najulubieńsze tematy tego artysty. Do tej kategoryi dadzą się zaliczyć: „Wieczór romantyczny" jeden z najcelniejszych obrazów tego malarza: dalej: „Niebezpieczny" a nakoniec wprowadzenie muzyki na dwór Zygmunta I-go, wielkie płótno w rodzaju historycznym. Udatność pomysłu i siła kolorytu, stanowią najcelniejsze przymioty powyższych utworów; wadą zaś ich jest pewna suchość i twardość tak rysunku, jak i malowania. Szczególniej obrazek zatytułowany: *„Niebezpieczny"* grzeszy powyższemi wadami. Rysunek p. Mireckiego częstokroć także zasługuje na naganę. Ubiegając się o zbyt idealną i romantyczną piękność swych bohaterek, maluje je za długie, za chude, z nadmiernie wielkiemi oczyma, za małą twarzą, za małemi ustami, za długiemi zębami i stanem. Obrazek „Niebezpieczny" na wszystkie powyższe zarzuty, może dostarczyć w obfitości dowodów.

Przechodząc do p. *Jasińskiego*, przedewszystkiem zauważymy; że cechą a zarazem i główną wadą tego artysty jest nadużywanie białego koloru. Kontury jego postaci wiecznie, oświecone są na krańcach jasnem białem i rażącem światłem, które niewiadomo skąd płynie i niewiadomo czem jest. W wielkich płótnach religijnych, nie tyle to jeszcze razi,—zwłaszcza w obrazach przedstawiających objawienia, wniebowzięcia i t. p. bo w niebie mogą być rozmaite blaski i światła o których nic nie wiemy. Inna rzecz skąd w obrazkach mających na celu czysto ludzkie stosunki, bierze się jakaś aureola, nad czołami i włosami przedstawianych osób — któråto aureola nie jest ani blaskiem słońca, ani księżyca, ani ognia, ani chmur, ani żadnej innej rzeczy, która w naturze się znajduje. W ogóle nie znam artysty, któryby tak nadużywał rozmaitych barw i tonów jak p. Jasiński. Rzucić światło białe na włosy, lekki ton fijoletowy na twarz, żółty na szyję i t. p. wydaje się temu artyście rzeczą arcy naturalną. Płótna jego religijne mają jednak swoję wartość—przynajmniej względnie do stanu w jakim się dziś malarstwo religijne znajduje.

Nakoniec przechodzimy do trzech najznakomitszych obrazów, jakie się w obecnej chwili na wystawie naszej znajdują, a które zaledwie na nią przybyły. Są to: Rewera Potocki, Kossaka i dwa płótna Aleksandra Gierymskiego: jedno przedstawiające znaną we Włoszech grę Nora, drugie, Austeryją rzymską. Ogromna akwarella Kossaka przedstawiająca Rewerę Potockiego; a raczej wręczenie mu buławy świeżo wyoranej przez wieśniaków, jest jednem z najznakomitszych dzieł tego wielkiego artysty. Rewera Potocki ciągnie na sejm do Lwowa; z ogromnym dworem; sam siedzi w karecie zaprzężonej w sześć tarantów, za karetą stoi trzech bogato ubranych hajduków; w około na dzielnych koniach roje butnej szlachty o marsowych dumnych twarzach, w dali reszta dworu, chorągwie nadworne pancernych i tabory; szeregi włościan, konie, ludzie i t. p. Nad całem pochodem błękitna kopuła nieba, upstrzona gdzie niegdzie pierzastemi chmurami, w dali góry, doliny, miasto oblane promieniami słońca i mieniące się różnobarwnemi dachówkami.

Na pierwszym planie świeżo poorana gleba, młody chłopak z osełedcem na głowie pilnuje wołów, starszy zaś wieśniak, schylony pokornie wręcza Rewerze buławę. Nie umiem znaleść słów na oddanie całej doskonałości rysunku, mistrzostwa w przedstawieniu typów rozmaitości i barwności. Życie i ruch wre tu na każdym punkcie; prawda historyczna podania, przegląda w niezrównanej charakterystyce i ogólnej i szczegółowej; a przytem nad całością rozlewa się niezrównany urok poezyi. Istotnie jestto cały poemat godny pióra Pola, a pędzla Kosska. Myśl mimowoli na skrzydłach pamięci i tradycyi ulatuje w ową świetną pełną purpury, złota i mieczowych połysków przeszłość — w tę przeszłość gwarną, burzliwą, a tak bohaterską.

Historyja zarzuca jej wiele wad i błędów, ale poezyja nie wydaje sądu, jeno piórem czy pędzlem otrząsa ją z grobowej pleśni, oświeca słońcem natchnionej miłości i stawi przed oczyma młodą, uśmiechniętą kipiącą nadmiarem życia, a potężną. Historyja daje z niej karm rozu-

mowi, poezyja sercu. W poezyi więc nawet wady jej stają się przymiotami, zarówno bowiem z temi ostatniemi przyczyniają się do podniesienia tego, co istotną jej charakterystykę i prawdę stanowi.

Takim jest obraz Kossaka.

Dwa obrazy Gierymskiego, jakkolwiek mniej dla nas sympatyczne, jakkolwiek nawet pośrednio z nami nie związane, pod względem czysto artystycznym nie mniej są jednak znakomite. Pierwszy z nich, większy przedwia wnętrze Austeryi rzymskiej. Kilka osób znajduje się we wnętrzu nie wielkiej izby; jedni rozmawiają, drudzy piją i jakiś wieśniak spi sobie spokojnie przy głównym stole. Oknami wpadają czerwone blaski i mięszają się z białem światłem odbitem od muru leżącego naprzeciw drzwi szynkowni. Poprawność rysunku wszędzie tu znakomita, szczególniej jednak bogactwem odznacza się charakterystyka twarzy.

Mimowoli czujesz, że nie są to ladajakie pomysły, że nie żurnalowe to fizyjognomije odznaczające się tem chyba, że każda ma nos, oczy, usta i wszystko co każda twarz mieć musi; ale najprawdziwsze typy i na gorącym uczynku, jak to mówią, w życiu chwytane. Umieć tak patrzeć i tak chwytać jak p. Gierymski, to już cecha pierwszorzędnego artysty. Talent, widać tu z każdego pociągu pędzla — taki prawdziwy złoty talent, którego nie kupić, ani wyrobić, ani wypracować, ale z którym urodzić się trzeba.

Obraz gra w „*mora*“ ma też same przymioty; przedewszystkiem, poprawność, cechę, biegłości—i typowość: cechę talentu. Zarzucają młodemu artyście, że zbytnim jest realistą, że mu tylko o wierne odbicie pospolitego życia chodzi, ale zarzut ten wedle naszego zdania nie ściąga się do artysty, lecz do rodzaju malarsta. W tym rodzaju, jakiemu poświęcił się p. Gierymski, idealność, znaczy to samo, co typowość, a tej ostatniej w obrazach młodego artysty chyba ten tylko kto nie chce nie znajdzie. *H. S.*

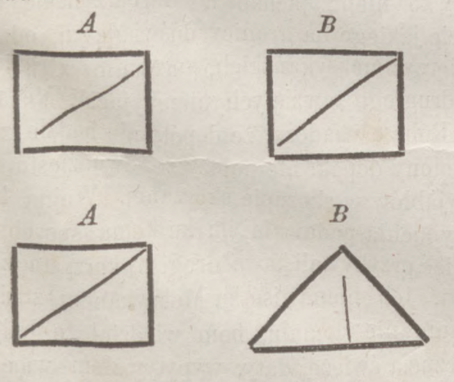
JAK NALEŻY ROZWIJAĆ UMYSŁ DZIECKA?

napisał

Aleksander Głowacki.

(ciąg dalszy)

Jeżeli mamy cztery trójkąty prostokątne i równe, wówczas możemy je ułożyć dwoma sposobami:



Widzimy, że przedmiot *A* pozostał tym samym, lecz przedmiot *B* zmienił formę, z kwadratu bowiem zrobił się trójkątem prostokątnym.

Gdybyśmy teraz brzegi kwadratu *A* i trójkąta *B* obcięli w ten sposób jak wskazują linije przerywane, wówczas forma nowoutworzonych przedmiotów pozostałaby podobną do dawnej, lecz zmieniłaby się *wielkość*.

N. Daj przykład zmian formy i wielkości jakie zachodzą w naturze.

U. Księżyc pozornie wciągu kilku tygodni zmienia formę i wielkość a zmiany te nazywają się lunacyjami. Rośliny i zwierzęta rosną, zmieniają zatem wielkość i kształt. Głowa wielu zwierząt przeżuwających (np. wołu, kozy, owcy) zmienia formę; zwierzęta te bowiem w wieku późniejszym dostają rogow, których za młodu nie miały i t. d.

N. Oto są nowe grupy przedmiotów; należy określić zmiany jakie w nich zajdą.

U. Były naprzód dwie szklanki czystej wody; do jednej z nich wleliśmy łyżeczkę mleka skutkiem czego woda z przezroczystej zrobiła się nieprzezroczystą.

Były powtóre dwa zwieciardła; jedno z nich powlekliśmy tłustością i zwierciadło straciło własność dokładnego odbijania światła.

Mieliśmy w końcu dwie żelazne blaszki, białe, jedną z nich rozgrzaliśmy nad świecą i blaszka z białej zrobiła się wiśniowa, czerwona, jasno czerwona, słowem zmieniła kolor.

N. Streść to co poznaliśmy w niniejszym rozdziale?

U. Poznaliśmy 1-o. Różnicę między przedmiotem a *wrażeniem* które od niego pochodzi; polega zaś ona na tem, że wrażenia są przemijające a przedmioty trwają. 2-o. Przekonaliśmy się, że nie tylko zmieniają się nasze wrażenia, ale nawet własności przedmiotów, a dalej że zmiany te dotyczą: a) *Bytu*, b) *Ilości*, c) *Położenia*, d) *Jakości* przedmiotów.

N. Czy do poznania zmian wystarczają, nam same zmysły?

U. Same zmysły nie wystarczają, potrzebna jest jeszcze pamięć, za pomocą której uprzytamniamy sobie dawniejszy stan przedmiotu. Naprzykład w zimie powierzchnia pól jest zwykle biała, w lecie zielona, ku jesieni płowa. Nasz pies przed rokiem był wielkości małego kota, teraz zaś jest większy od zająca i t. d.

N. Czy ojciec twój od sześciu lat zmienił się?

U. Zmienił się, bo wówczas, nosił brodę, a dziś jej nie nosi.

N. Czy pamiętasz ten czas kiedy nosił brodę?

U. Nie pamiętam, ale wiem o tem z fotografii, którą mamy w domu z datą jej zrobienia. W tym wypadku fotografija przedstawia nam stan dawniejszy.

N. Czy oleander wasz od roku zmienił wielkość?

U. Zmienił, wówczas był wysoki na łokieć, a dziś na pięć ćwierci.

N. Czy niebo od wczorajszego dnia zmieniło kolor?

U. Zmieniło, bo dziś jest prawie szafirowe, a wczoraj było blado niebieskie tak jak nasza ściana.

N. A czy słońce zmieniło od rana położenie?

U. Tak jest. Z rana widać go było przez okna salonu, a teraz przez okna naszego pokoju.

N. Jakim więc sposobem poznać można o ile zmieniła się pewna *własność* danego przedmiotu (np. wielkość oleandru, kolor nieba, położenie słońca?

U. Dla poznania tego trzeba porównywać daną własność zmieniającego się przedmiotu, z taką samą własnością innego przedmiotu, który się niezmienia. Naprzykład kolor nieba, z kolorem ściany, wielkość oleandru z wielkością łokcia, położenie słońca z położeniem okien i t. d.

N. Czy kraj nasz od kilkuset lat lub wreszcie od kilkudziesięciu uległ zmianom, i skąd wiesz o tem?

U. Uległ. Dawniej było więcej lasów, nie było szos, ludzie nie sadzili kartofli,— dziś są szosy i kartofle, a zato lasów ubyło. Przed kilkudziesięciu laty znowu nie mieliśmy kolei żelaznych, dziś je mamy. Co zaś do tego skąd wiemy o podobnych zmianach: to z dwu źródeł: o zmianach dawniejszych donoszą nam pisma z owych czasów pozostałe, o zmianach zaś nowszych, także pisma i naoczni świadkowie zmian.

N. Czy myli się kiedy człowiek mówiąc o zaszłych zmianach?

U. Bardzo często. Jeżeli bowiem w rozdziale „O badaniu własności“ przekonaliśmy się, że często zwodzą nas zmysły, to przy badaniu zmian, mogą nas zwodzić nie tylko zmysły ale i pamięć. Mnie np. jednego dnia zdawało się że stół jest splamiony, na drugi więc dzień dziwiłem się że plama znikła, choć jej nigdy nie było. Ten błąd pochodził z winy zmysłów. Pewnego dnia także myślałem że ojciec, który wrócił do domu w surducie, zostawił gdzieś palto, — a po chwili dopiero przypomniałem sobie, że ojciec bez paltota wyszedł do miasta. Ten błąd pochodził z winy pamięci.

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXIV.

Straszna walka.

Była to wódka skutkiem której zdolniejszym się stałem do rozmowy.

— Widzę że przychodzisz do siebie kapitanie, — odezwał się Garej uradowany widocznie że go poznałem.

— Tak moi drodzy, poznałem was obu...

— My także nie zapomnieliśmy o tobie, wspominaliśmy cię często, i nieraz dowiadywaliśmy się z Rubem co się z tobą dzieje. Słyszeliśmy że powróciłeś do osady, aby jak nam mówiono wziąść się do gospodarki, słyszeliśmy że nawet zmieniłeś nazwisko dla...

— Niech dyjabli porwą nazwisko przerwał Rube, ja nie pragnę nic więcej jak go zmie-

nić pierwszego lepszego dnia, dla kawałka ziemi na rzece de James—daję ci słowo na to...

— Mój kapitanie, ciągnął Garej nie zważając na przerwę starego Ruba, nie zapomnieliśmy cię ani na chwilę.

— Oh nie! dorzucił serdecznie Rube, ciebie zapomnieć, zapomnieć młodego człowieka który kiedyś wziął starego Rube za niedźwiedzia, spostrzegłszy jego ubranie z daleka?... Jakże Bill się uśmiał kiedy mu opowiedziałem historyją w jaskini. Bill mój chłopcze nie widziałem cię nigdy już śmiejącego się tak w życiu. No bo też pomyśleć że wzięto starego Rube za szarego niedźwiedzia...

I stary śmiał się na całe gardło, poczem ciągnął dalej:

— To jednakże zabawne, nie prawda mój mały, Ty ocaliłeś wtedy moje stare kości, a ja nie jestem z rodzaju tych, co zapominają wyświadczone sobie przysługi.

— Zdaje mi się żeś mi za nią sowicie zapłacił—bo to ty mnie ocaliłeś...

— Być może żeśmy oswobodzili cię od jednego niedźwiedzia, ale tyś się sam uwolnił od drugiego i trzeba przyznać żeście się bili i mężnie i długo ażeby dać sobie radę z tem plugactwem. Sposób w jaki użyłeś noża nie pozostawia nic do życzenia, to trzeba przyznać, wywijasz nim dzielnie — strzeżcie się węże!...

— Czyż było dwóch niedźwiedzi?..

Spojrzyj że tam na tę parkę... czyż nie dwóch, mówił stary wskazując palcem w stronę ognia. Mówił prawdę, dwa cielska niedźwiedzie, leżały na ziemi obdarte ze skóry i w części porąbane...

— Ale ja biłem się tylko z jednym?..

— I tego na ten raz dosyć, a nawet za dużo—trzeba przyznać... Potrzeba było dobrze się zabrać do rzeczy żeby sobie poradzić.

— Więc ja go na prawdę zabiłem?...

— Z największą pewnością młody przyjacielu.

— Kiedyśmy Bill i ja przybyli na pole bitwy, niedźwiedź był tak nieżywy jak wieprz posolony, ale myśleliśmy że i ty w nielepszym stanie. Trzymałeś niedźwiedzia w pół, a on leżał na tobie, tak że można by przypuszczać iż w najlepszej przyjaźni położyliście się spać razem... Nie zostało ci krwi nawet na śniadanie dla pijawki.

— A drugi niedźwiedź?...

— Ten wyszedł z wąwozu. Bill poszedł szukać białego konia, ja siedziałem przy tobie w tym samym co teraz miejscu, gdy zobaczyłem jego wychylającą się mordę. Aha pomyślałem sobie zaraz, to napewno wdowa, przyszła zobaczyć gdzie się stary Ephraim zapodział. Wtedy wziąłem karabin i posłałem jej śliwkę prosto w oko, i na tem skończyła ostatni swój spacer.

A teraz posłuchaj chłopcze ani ja ani Bill nie jesteśmy doktorami, ale znamy się trochę na ranach, i możemy cię zapewnić że trzeba leżeć spokojnie i basta. Zostałeś nieźle podrapany to prawda, ale nie bardzo znów niebezpiecznie, tylko nie masz ani dwóch uncyi krwi w żyłach, trzeba więc zachować się spokojnie dopóki ona nie wróci. Pociągnij jeszcze raz z flaszeczki—o tak—teraz Bill chodźmy sobie, zostawmy go samego, chodźmy, podjemy sobie nieźle mięsiwem z niedźwiedzia.

Mówiący to rodzaj manekina ze skóry, oddalił się w kierunku ognia razem ze swoim towarzyszem.

Pomimo chęci dowiedzenia się szczegółów które mnie tak obchodziły, wiedziałem że napróżno będę oto zapytywał starego Ruba potem co mi powiedział, musiałem więc zastosować się do jego rady i leżeć spokojnie.

ROZDZIAŁ XXV.

Pragnienie zemsty.

Zasnąłem snem długim i głębokim, a kiedy się obudziłem było już blisko południe. Powietrze czyste ale chłodne, ciepło mi jednak było, bo starzy poczciwcy otulili mnie starannie płaszczem.

Teraz czułem się już daleko lepiej. Obejrzałem się na towarzyszy. Ogień się nie palił, zgasili go, z obawy zapewne ażeby światło błyskając w ciemności, nie zwróciło uwagi jakiego marudery indyjskiego.

Noc była widna chociaż nie księżycowa, niebo usiane gwiazdami— mogłem więc rozróżnić cienie dwóch ludzi i konie które pasły się spokojnie. Jeden ze strzelców spał, drugi czuwał nad naszym małym obozem, siedząc nieruchomy jak posąg—mała tylko iskierka połyskująca w fajce świadczyła że czuwał bacznie. Jakkolwiek słabe było światło poznałem starego Rube.

Wolałbym żeby on był spał raczej, tak niecierpliwie chciałem rozmówić się z młodszym moim towarzyszem, bo chciałem wypytać o wszystko Gareja. Ale moje obawy nie pozwoliły mi czekać już dłużej, obróciłem się więc w stronę Rube'a a że siedział blisko, zagadnąłem go po cichu żeby nie obudzić śpiącego:

— Jakim sposobem znaleźliście mnie tutaj...

— Szliśmy za twoim śladem...

— Toście mnie pilnowali od samej osady?..

— Nie. Bill i ja obozowaliśmy w lesie, i widzieliśmy jakeś pędził za białem koniem. Poznałem cię od jednego razu, Bill poznał cię także. A co Bill odezwałem się pierwszy, to ten co mnie wziął kiedyś za szarego niedźwiedzia, a przypomniawszy to sobie zacząłem się śmiać aż mnie boki bolały. Tak, to on, odpowiedział Bill i prawie zaraz spotkaliśmy Meksykanina który ci służył za przewodnika a teraz pędził cię szukać. Opowiedział nam historyją w której było coś o jakiejś senorze co cię posłała w pogoń za białym koniem. Niech dyjabli wezmą Sennory nieprawda Bill, powiedziałem?..

— Na to zapytanie, drzemiący Garej przyświadczył coś niezrozumiale...

— Tak więc ciągnął Rube, dowiedziawszy się iż kobieta wchodziła w tę sprawę powiedziałem do Billa. Słuchaj ten sowizdrzał nie zatrzyma się dopóki nie złapie konia, lub tropu jego nie straci. Wiedziałem że masz dobrego konia, ale i to wiedziałem że gonisz za najszybszym biegunem stepów, więc powiedziałem do Billa, Billu będą oni kawał czasu się gonić.

— Bill mi na to odpowiedział: no tak z pewnością. Wtedy Bill i ja wbiliśmy sobie w głowy że ty się zabłąkasz, bośmy zobaczyli jak biały skoczył w stronę stepu. Nie jest to największy step na swiecie — ale, zawsze jest to prawdziwa pustynia na której łatwo można się zgubić. Twoi blambeki wszyscy się cofnęli, więc Bill i ja wzięliśmy konie i pociągnęliśmy za tobą. Wyjechawszy na łąkę nie dojrzeliśmy już ciebie, tylko ślad kopyt końskich, szliśmy więc za tym śladem, a że noc zapadła zanim zrobiliśmy połowę drogi, trzeba się było zatrzymać do wschodu słońca. Rano zaledwie poznać można było tropy, znowu tedy zmarnowaliśmy sporo czasu, aby dojechać do rozpadliny. Patrz odezwał się Bill, koń skoczył tutaj, a oto i znaki młodego człowieka które także prowadzą na dno przepaści. Mieliśmy już tam się spuszczać, gdy spostrzegliśmy twojego konia bez siodła i uzdy. Puściliśmy się ku niemu i kiedy zbliżyliśmy się o jakie dwadzieścia kroków spostrzegliśmy coś leżącego na ziemi... Właśnie to coś, to byłeś ty i twój niedźwiedź, leżący na sobie, spokojni jak para gołąbków uśpionych. Moro rżał i krzyczał jak dziki kot zamknięty w szafie, to też i ja i Bill myśleliśmy że już jest po tobie. Ale przypatrzywszy się bliżej poznaliśmy żeś był tylko zemglony, gdy tymczasem Efraim był zupełnie martwy. Naturalnie zaczęliśmy cię cucić i stawiać na nogi.

— Ale koń biały?

— To Bill schwytał go w przepaści, na dnie której zatrzymały go duże skały — przewidzieliśmy to, bo dawniej już znaliśmy to miejsce. Wiedzieliśmy że nie potrafi przesadzić tej przeszkody. Bill poleciał za nim, znalazł go na brzegu na który się wdrapał by się schronić przed potokiem, tam go też i złapał zarzuciwszy mu arkan—i przyciągnął tutaj... Teraz wiesz już wszystko od początku do końca...

— I dziki koń jest na twoje rozkazy kapitanie, dodał Garej unosząc się na łokciach, jeżeli tylko zechcesz go przyjąć...

— Dziękuję wam moi przyjaciele dziękuję, nietylko za ten podarek, ale głównie za to że jeszcze oddycham. Bez was nie wyszedłbym z tego nigdy. Dziękuję moi starzy przyjaciele, dziękuję po tysiąc razy...

Wszystko było wyjaśnione, nie było już tajemnicy, chociaż po tem co się było wymknęło Garejowi, miałem wielką ochotę rozmówić się z nim we cztery oczy...

Gawędząc dalej dowiedziałem się jeszcze że obaj strzelcy byli w drodze, dla połączenia się z oddziałem naszych współziomków przeciwko nieprzyjacielowi. Barbarzyńskie obejście jakiego na granicy doświadczyli od żołnierzy meksykańskich, uczyniło z jednego i drugiego zawziętych nieprzyjaciół Meksyku, a Rube oświadczył że dopóty nie będzie zadowolony dopóki nie położy ze dwudziestu tych dyjabłów w skorupie skórzanej. Wojna która wybuchła podawała im ku temu sposobność, więc przybywali kawał drogi by korzystać z okazyi. Ich nienawiść ku Meksykanom zdziwiła mnie nie pomału, bom wiedział że były to uczucia świeżej daty, wypytywałem więc ich szczegółowo o rodzaj tego złego obchodzenia na jakie się użalali, opowiedzieli mi to chętnie. W jednym otóż z miast na granicy Me-

ksyku położonych, pod bardzo błahym pozorem obadwaj strzelcy zostali zatrzymani i wychłostani niemiłosiernie, z rozkazu oficera dowodzącego.

Tak, mruczał Rube ze złością, zostaliśmy wychłostani. Człowiek z gór żeby miał brać baty — od przeklętego Meksykanina. Nie mówmy o tem nie mówmy, ale... ale na rany Chrystusa — a ja szanuję taką przysięgę — nie opuszczę Meksyku, zanim nie dostanę jednego żołnierza za każde uderzenie rzemieniem, a przyłożono mi takich dwadzieścia, nie więcej...

— Ja także stary mule krzyknął Garej z oburzeniem, ja także wykonywam tę samą przysięgę...

— Słusznie Billu dobry chłopcze, jestem pewny że skompletujemy całą liczbę. Już mamy dwóch, przypatrz no się mój przyjacielu mówił Rube, podsuwając mi swój karabin do oczów i wskazując palcem miejsce na kolbie, i dwa świeże na niej karby. Domyśliłem się aż nadto dobrze, że to była zaznaczona śmierć dwóch Meksykanów poległych od kuli Ruba. Nie byli oni jedynemi ofiarami, bo na innych częściach kolby dojrzałem długie szeregi pamiątek tego samego rodzaju, oddzielone jedne od drugich i różniące się tylko formą. Wiedziałem że te straszne hieroglify opowiadały historyją życia, przebytego w pośród przygód straszliwych. Odwróciłem oczy i milczałem...

— Uważaj tylko młodzieńcze! odezwał się Rube, który zauważył że nie zrobiłmi wielkiej przyjemności, nie trzeba nas brać, mnie i Gareja za dzikie zwierzęta, —my wcale tacy nie jesteśmy.

Okropnie nas znieważono to prawda, ale pomimo to my się nie umiemy mścić na kobietach i dzieciach, na sposób Indyjski. Tego nie zrobimy nawet mężczyznom, chyba że to będą żołnierze. My nic nie mamy do biednych niewolników, tyranizowanych przez Meksykan. Oni nigdy nie zrobili nam nic złego. Dokonaliśmy wyprawę z czerwono-skórymi *Yutaws* w stronę osad Del-Norte i tam zrobiłem te dwa pierwsze znaki, ani Bill ani ja nieruszyliśmy palcem kobiety lub dziecka i dla tego właśnie że indyjanom nie było to na rękę, cofnęliśmy się stamtąd.

Chcemy się bić jak na białych i chrześcijan przystało—i oto dlaczegośmy przybyli młody przyjacielu.

Uradowałem się słysząc Ruba wyrażającego się w ten sposób i wyraziłem mu moje zadowolnienie. Pomimo że ciągle zostawał z indyjanami, pomimo że zdziczał i zobojętniał na wszystkie uczucia, dostrzegłem że drga jeszcze w jego sercu jakaś struna szlachetna. Rzeczywiście nie raz zauważyłem w Rubie delikatniejsze uczucie. Znajdując się w takich jak on wyjątkowych warunkach, było to rzeczywiście osobliwością.

To powiedziałem, po chwili—życzeniem waszem jest połączyć się z armiją szerogowców nieprawda?

— Tak odrzekł Garej, i właśnie chcemy przystać do twego oddziału, Kapitanie, tylko że Rube nigdy nie zechce...

— Nie, nie, zawołał tenże gwałtownie, nie przystanę do szeregów. Całe moje życie przepędziłem w górach, nie znam się wcale na rzemiośle żołnierza. Z pewnością są tam reguły które mi się niespodobają, więc wolę prowadzić wojnę na swój sposób. Bill i Garej są sami w stanie dać sobie radę, nieprawda?

— Tak i ja sądzę, odezwał się powolnie Garej, ale pomimo to mój dobry Rube, lepiejby było poprowadzić to wszystko w sposób regularny, szczególnie z tym oto kapitanem, on by nam uczynił służbę wojskową, o ile można najdogodniejszą. Nieprawda kapitanie...

— Karność w moim oddziale nie jest najsurowszą, a nasza służba różną jest, od służby w wojskach regularnych bo...

— To nic nie znaczy, przerwał Rube, ja muszę się bić tak jak mi się podoba, nie chcę się powstrzymywać od niczego. To by mi na nic się nieprzydało.

— Ale zaciągając, się perswadowałem, masz prawo do zapłaty i do regularnych porcyj żywności, gdy tymczasem...

— Niech dyjabli porwą zapłatę i porcyje, wykrzyknął stary strzelec, uderzając kolbą o ziemię, ja tylko dla zemsty się biję...

— Powiedział to z energiją, dla tego by urwać rozmowę, to też nie nalegałem nań więcej...

— Słuchaj jednak kapitanie, dodał łagodniej po chwili, chociaż nie mam ochoty połączyć się z wami, chciałbym cię prosić o jedną łaskę, oto żebyś mi pozwolił razem z Billem posuwać się za twoim oddziałem. Nie chcę twoich porcyj boć musi być dosyć zwierzyny w Meksyku, a gdyby przypadkiem nie było na to, zjemy jakiego Meksykanina. Czy to ci się podoba Bill... mój chłopcze.

— Garej wiedział że to był jeden z żartów, Ruba, odpowiedział więc głośnym śmiechem, ale zarazem dodał że wolałby jednak co innego...

— Nie troszczmy się o to ciągnął Rube, nie mamy potrzeby obawiać się umrzeć z głodu. Jeżeli kapitanie przystajesz zabrać nas ze sobą na tych warunkach, będziesz miał zawsze pod ręką dwa karabiny, co się nie ulękną nigdy niczego, możesz bydź tego pewnym.

— Zgoda — Będziecie mogli iść za mną, jeżeli wam się podoba, szczęśliwym będę widząc was obok siebie...

— Hurra to doskonale! — No Bill napijmy się na tę intencyją... Hurra za Teksas...

ROZDZIAŁ XXVI.

Ogień na stepie.

Prędko powróciłem do zdrowia, rany chociaż głębokie nie były niebezpieczne, a jako zewnętrzne tylko zagoiły się prędko. Pomimo szorstkości moich doktorów, nie mogłem w chorobie podobnej, popaść w lepsze ręce. Szczególniej stary Rube, znał się doskonale na ziołach.

Siły wracały mi szybko, gdy zwłaszcza dzięki Garejowi, kuchnia nasza obfitowała w zwierzynę przyrządzoną tak, iż dla inwalida nawet, znalazłoby się dosyć przysmaków.

Po trzech dniach byłem już zdolny dosięść konia, pożegnawszy więc obozowisko puściliśmy się w drogę, zabierając ze sobą naszę zdobycz.

Dumny rumak stepowy ciągle był dziki, ale przedsięwzieliśmy środki ostrożności, żeby się nam nie wymknął. Strzelcy wzięli go pomiędzy siebie, przywiązawszy z jednej i drugiej strony do siodeł, na rzemieniach arkanów.

Nie powracaliśmy dawnym szlakiem, bo moi towarzysze znali krótszą daleko drogę i to po nad wodą, co w podróży na stepach jest rzeczą najważniejszą. Wzięliśmy się więcej na zachód, tym sposobem trzymając się ciągle prostej linii, mogliśmy dotrzeć do brzegu rzeki Grande, a stamtąd do wioski.

Niebo było ołowiano-szare, słońce się niepokazywało, a że bez tego niebieskiego przewodnika łatwo można zbić się z drogi, dla zapobieżenia temu, moi towarzysze uciekli się do busoli, własnego swego pomysłu.

Opuszczając obozowisko, wbili żerdź bardzo wysoką w ziemię, a na jej wierzchołku zawiesili kawał skóry niedźwiedziej, która bujając w powietrzu mogła była być widzianą, na milę jaką przynajmniej.

Na linii tej pierwszej żerdzi zatknięto drugą o jakie paręset kroków dalej.

Mogliśmy więc postępować napewno oglądając się od czasu do czasu, czy trzymamy się prostej linii. Dopóki żerdzi można było dojrzeć—nie mogliśmy zboczyć z prostej drogi. Był to koncept bardzo dowcipny, ale że nie pierwszy raz byłem swiadkiem zręcznych pomysłów moich towarzyszów, nie zdziwiłem się wcale.

Kiedy skóry zawieszone na tykach zaczęły już ginąć nam z oczów, znowu dwie podobne zatknęliśmy wichy, znowu zabezpieczyliśmy sobie drogę na parę mil przestrzeni, i tak dalej dopóki nie przebyliśmy sześciu mil, to jest większej części stepu, i dopóki nie zobaczyliśmy miejsca zarosłego drzewem, w odległości jakich pięciu mil... W tę to stronę skierowaliśmy się obecnie.

Było południe gdyśmy dojechali do lasu. Nie był to las właściwie, były to raczej kępki drzew, rozsiane w pewnem oddaleniu, i poprzerzynane porosłemi trawą polankami.

Można tu było znaleść dużo miejsc przyjemnych, a zmęczywszy się na koniu miałem wielką ochotę wybrać które na spoczynek, nie było jednak i wody a bez wody odpoczynek był niemożliwym.

Wkrótce powinniśmy byli dotrzeć do rzeczki w padającej do rzeki Grande, tak przynajmniej obiecywali towarzysze, jechaliśmy więc dalej..

Ujechawszy z milę lasem, dostaliśmy się na brzeg obszernego stepu, miał bowiem ze trzy mile średnicy, i różnił się zupełnie od tego którymy rano porzucili. Był to step porosły kiedyś bujną trawą, a raczej zasłany gęstwiną kwiatów kwitnących, W takiej masie że literalnie splatały się one ze sobą. Teraz jednak kwiatów nie było widać, wszystkie powiędły i opadły, zostały tylko łodygi, i uschłe i spalone od piekącego słońca. Nie był to wcale widok ponętny dla oka.

Zamiast jechać środkiem, objeżdżaliśmy brzegiem, wkrótce przybyliśmy do brzegów rzeczułki

Nie przebyliśmy tak zbyt jeszcze wielkiej przestrzeni, jednakże moi towarzysze, z obawy ażeby utrudzenie nie sprowadziło mi gorączki

zaproponowali rozbicie obozu, z odłożeniem podróży na dzień następny. Chociaż czułem się dość silnym do dalszej podróży, nie miałem nic przeciwko wypoczynkowi, rozsiodłaliśmy konie i przywiązali nad brzegiem rzeczki...

Przepływała ona w pośród małej zielonej doliny a opatrzywszy opodal pagórek niewielki i sami rozłożyliśmy się pod cieniem drzewa.

Przenieśliśmy tu siodła, uzdy i płaszcze, poczem nazbierawszy spory stos suchych gałęzi rozniecilismy ogień.

Zaspokoiwszy pragnienie i napoiwszy konie poczuliśmy apetyt, przydymione jednak mięso niedźwiedzie nie bardzo nas pociągało. Szczęściem w strumieniu były prawdopodobnie ryby, Garej nosił zawsze wędki przy sobie i zaproponował połów.

Wkrótce przygotował wszystko, założył robaki i udał się nad rzekę a my usiedliśmy czekając aż się co złapie...

Rube nie był amatorem rybołowstwa, przypatrywał nam się przez kilka minut, ale widocznie nie obchodziło go to wcale.

— Idźcie do dyjabła z waszemi rybami zawołał nakoniec, lepszy kawałek daniela niż wszystkie ryby z całego Teksas. Pójdę zobaczyć czy się nieda upolować jakiej zwierzyny.

Przy tych słowach stary strzelec zarzucił karabin przez ramię, pospieszył brzegiem rzeki, i niezadługo straciliśmy go z oczu...

Ja z Garejem zapuszczaliśmy ciągle wędki ale z niewielkim skutkiem. Udało nam się nareszcie złapać parę rybek, gdy w tem strzał Ruba obił się o nasze uszy. Zdawało się że pochodził z zarośli, pobiegliśmy zatem w górę rzeki żeby zobaczyć rezultat wystrzału. I dojrzeliśmy Ruba na łące o jakie pół mili od obozowiska, tylko ramiona i głowę z pośród wszystkich łodyg widać mu było. Był pochylony domyślaliśmy się przeto że tak się przypatruje zabitej zwierzynie, którą zapewne oprawia i ćwiertuje. Ale nie mogliśmy wiedzieć co to był za rodzaj zwierzyny, wysokie łodygi zasłaniały nam widok.

To pewno daniel zauważył Garej, od dawna nie wysuwały się one tak daleko ku południowi lubo sam zabiłem kiedyś jednego w pobliżu rzeki „Grande.“

Nie mówiąc nic więcej powróciliśmy na swoje miejsca, i znowu zarzuciliśmy wędki, pewni że Rube nie potrzebował pomocy bow przeciwnym razie dał by nam znak jakiś. Zapewne powróci do nas niebawem ze swoją zdobyczą.

Odkryliśmy przypadkiem że rzeczka obfitowała w małe rybki srebrzyste i to odkrycie zajęło całą naszę uwagę... Chcieliśmy koniecznie nałapać ich na obiad bo to byłoby doskonałe jedzenie.

Przynętę z robaków zastąpiliśmy kawałkami złotego galonu od mego munduru, i udało nam się wydobyć z wody kilka już ładnych rybek, ale w chwili gdyśmy się najwięcej z tego cieszyli posłyszeliśmy nagle jakieś szczególniejsze trzeszczenie i odwróciliśmy prędko głowy w stronę stepu.

Na widok jaki nam się ukazał skamienieliśmy z przerażenia. Konie rwały się na linach od arkanów, że mało ich nie pozrywały i rżały przeraźliwie a szczególniej stara klacz Ruba.

Przyczyna tej trwogi nie była tajemnicą — poznaliśmy ją od pierwszego spojrzenia. Wiatr poniósł na step iskry z naszego ogniska, pomiędzy wyschłe łodygi. Cała ogromna przestrzeń stała w płomieniu.

Chociaż przerażeni tym niespodziewanym widokiem nie o siebie to obawialiśmy się właściwie. Miejsce któreśmy zajmowali porosłe było krótką trawą, niepodobna iżby się zajęła od ognia, a i w tym ostatnim razie łatwo byśmy zdołali uciec w pewniejsze miejsce. Palący się step nie jest niebezpiecznym, jeżeli trawa jest niska i lekka można schyliwszy głowę przerznąć się przez płomienie, osmoliwszy tylko trochę włosy, nałykawszy się dymu. Ale na przestrzeni porosłej obfitą i bujną roślinnością zmienia się postać rzeczy. Byliśmy więc spokojni o siebie, ale bardzo niespokojni o naszego towarzysza podróży, jego położenie zatrważało nas.

Gdyśmy poszli spojrzeć na niego po strzale, znajdował się był o jakie pół mili od nas, w pośrodku lasu z suchych łodyg, bez konia. Byłoby szaleństwem probować ucieczki w przeciwny koniec stepu, czyli o jakie najmniej trzy mile. Nawet na koniu wyprzedziłby go płomień, bo na swojej starej klaczy nie łatwo torowałby sobie drogę w pośród wyschłych łodyg i poplątanych ze sobą tak że i najdzielniejszy rumak miałby dosyć do roboty.

Jedyną możnością ratunku byłoby wracać drogą najbliższą, ale w takim razie trzeba by iść prosto na płomień, albo zemknąć tak szybko iżby ogień nie był w stanie rozszerzyć się w całej swojej sile. Najniezawodniej musiał mieć przecięty odwrót w tym kierunku. Jak już powiedzieliśmy o tem, łodygi były suche jak hupka a płomień niesiony silnym wiatrem od czasu do czasu puszczał swoje jaskrawe języki, niby węże ogniste w najrozmaitsze kierunki. *d. ç. n.*

Listy z Krakowa

F. M. EYSYMONTA.

2 lutego, 1875 r.

Cóżem winien, że mi Bóg dał serce, a co więcej...oczy? Zapytanie to niech nikogo nie dziwi, gdy ludzkość biljonowa oczy za najszczytniejsze dary Boskie uważa...Ale, widzicie, są różne oczy: jedne nie widzą nawet tego, co przed nosem leży lub stoi, że przymrużywszy się—bo światło je razi—muszą patrzyć przez szkiełka, które co chwila usłużna ręka podsuwa...inne, a do tych ostatnich na nie szczęście lub szczęście należą oczy i waszego uniżonego sługi... takie że nie tylko nic zewnętrznego przed niemi utaić się nie może, ale i wewnątrz patrzą i — o! dziwy — duszę widzą ot tak, jak na dłoni. Widać na coś to Pan Bóg daje takie oczy. A na co? doprawdy, nie wiem, niech przyszłość rozwiązuje sobie tę zawiłość filozoficzną...co do mnie, wolę w tej chwili podzielić się z Wami Szanowni Czytelnicy, Szanownego *Opiekuna*, cząsteczką tego, co dokoła siebie widzę nie od dziś, a czego niektórzy może i *do dziś* nie widzieli, lecz ujrzą.

Racyja fizyka i nie racyja. Powiedziałem: podzielę się i t. d. a czy to tak łatwo, myślicie? Powiedzieć łatwo, dokonać trudno, bo chyba zamiast arkusza papieru należałoby wziąść wołową skórę.

Myśli cisną się do głowy, uczucia z serca się rwą, i o tem chciałoby się pisać, i o tem... i o tem... Gwałtu, co się dzieje! Bądźmy nareszcie raz niemiecko-systematyczni, bo cnoty i samego dyjabła gdyby je miał, naśladować trzeba, i zacznijmy od najbliższego naszemu sercu Uniwersytetu.

Alma mater Jagiellonica, wszechnica nasza poczciwa w starym Krakowie, co się niegdyś tytułował mianem niepospolitem: *toror parva Romae.*

Mamże skreślać jej historyję? lub opisywać pyszny, wspaniało-imponujący ostrołuk gmachu Biblijoteki Akademickiej? Komuż to z Was nieznane chociażby z mnóstwa dzieł i opisów? dalszych zaś odsyłam w tej materyi do pięknego i umiejętnego artykułu, nieznanego zapewne w Krakowie, a może i u Was, bo drukowanego jeszcze dawniej, w r. 185* niepamiętam którym w zbiorowem piśmie Kijowskiem, p. t. *Pisma Gromadzkiego.* Co się zaś tycze rozrzuconych, jak to jest cechą każdego starego uniwersytetu—w całem mieście kollegijów, gdzie się miewają zwykle uniwersyteckie wykłady, owych minus'ów „fatalnych“ jak je w niedawnych swych *Listach* nazwał sam profesor hr. Tarnowski, o nich się powie wtedy, gdy się będzie opisywało miłe brudy krakowskie...

Sam uniwersytet dla swych wydziałów posiada wiele katedr i niejednego ze znakomitych, a wielu dobrych profesorów. Oprócz Dra Dunajewskiego (ekonomii politycznej), Dra Mayera i kilku innych z rozmaitych wydziałów, szczególnie pod tym względem szczęśliwy lepiej mi znany wydział filozoficzny: takich profesorów, jak Dr. Józef Kremer (filozofii), Dr. Szujski (historyi), Prof. Józef Łepkowski (archeologii) i posiadający niepospolity dar słowa Dr. hr. Stanisław Tarnowski (literatury), wreszcie Dr. Zakrzewski, lub Dr. Mertens, niejeden z uniwersytetów może pozazdrościć Krakowowi. Znani zaszczytnie z pism swoich na polu literatury i nauki ci i inni profesorowie, jak np młody Dr. Straczewski, odznaczają się w ogóle niewidzianą dotąd przezemnie sumiennością w pracowitem przygotowaniu swych prelekcyi i spełnianiu swych obowiązków. Żeby profesor opuścił wykład, trzeba jakiejś nadzwyczajności! Czcigodny starzec Dr. Kremer, cierpiący i chory zasiada jednak na katedrze i chyba wtedy nie jest w lektoryjum, gdy choroba przykuwa go do łoża boleści...

— Panie Profesorze! rzekłem raz, Pan Profesor naraża się, dziś taka słota, takie licho na dworze...

— *Usque ad finem, usque ad finem!...* te słowa wysokiej myśli, były odpowiedzią starca. W sercu uczułem żal jakiś... Ciężko zrobiło się w piersi... Oby i naszą, młodzi, gwiazdą przewodnią było wielkie *usque ad finem!*

Następnie inny profesor woli co chwila przerywać zajmujący swój wykład kaszlem rzęsistym, niż dla silnego przeziębienia zostać w domu; a jeszcze inny ma jakąś wizytę, lecz wpierw zjawia się na katedrze wygalantowany, we fraku. Ledwo święta Bożego Narodzenia skończyły się, już w dniu oznaczonym, 7-go Stycznia, wszyscy profesorowie są w kollegijach, jakkolwiek nie wszystka młodzież

była również akuratną... bo częstokroć profesor zastawał wówczas w czterech pustych ścianach próżne ławy, lub od dwu do kilkunastu słuchaczy.

To się nazywa spełniać obowiązek nie z obawy kontroli, lecz z wewnętrznego jego poczucia i należnego zrozumienia swej godności.

Co do samych wykładów, jakkolwiek są one w miarę zadawalniające i korzystać z nich chyba tylko ten nie może, który nie chce, czuje się tu jednak pewien brak: i niezupełność—w ilości katedr. Pomijając inne nie dobrze mi znane wydziały, nie od rzeczy będzie powiedzieć słów kilka o wydziale filozoficznym.

A najprzód: przy istniejących *matematyczno historyczno filologicznych*, również oddzielnie wydziału *literacko-filozoficznego* nie ma, chociaż wykłady literatur polskiej i niemieckiej niepoślednie zajmują miejsce. Następnie brakuje tu urządzonych przy niektórych uniwersytetach w Rosyi lektoryi niemieckiego, francuzkiego, angielskiego i włoskiego języków, któreby ułatwiały niezamożnej młodzieży ich nabycie; filolodzy nie mają katedry Porównawczej gramatyki narzeczy indo-europejskich, literaci historyi literatury powszechnej. A co podobno najsmutniejsza, o języku słowiańskim i słowianach, za których poznaniem przemawiał niejednokrotnie w swych pismach nieodżałowanej pamięci F. E. Matejko, podnosił się nadto głos i w piśmienictwach warszawskich, słuchają tu jak baśni o wilku żelaznym... a co gorsza, że w jednej, naprzykład, dyskusyi mojej z kilku pracowitemi studentami, ci, literalnie mówiąc, nie wiedzieli, że dokładna znajomość narzecza polskiego bez znajomości języka staro-słowiańskiego obejść się nie może...

Kronika Zagraniczna.

(ciąg dalszy)

Zabrnęli Niemcy w Szekspirze aż po same uszy, a i kronikarz nie zgorzej, w tem tylko różnica, że oni popadli w maniją a kronikarz musi regestrować wszystko. Zresztą należy obejrzeć i odwrotną stronę medalu. Przesadne uwielbienie robiło z Szekspira *mistrza wiersza*, *mistrza rymu*, *kuglarza słowa*, *architekta peryjodów*, *fabrykanta antytezy* sypiącego jak z rękawa, dalej skrytego katolika, protestanta, ateistę, pijetystę, arystokratę, miłośnika ludu, słowem trudnoby pomieścić na jednej stronnicy wszystkie zalety i ujemne strony, przypisywane mu przez specyjalne towarzystwa Szekspirowskie w Niemczech. Wobec tego niepodobna pominąć pracy poważniejszej, równie świeżej; jak ów Rocznik Wajmarski. Swoim porządkiem i tu autor popadł w maniją; i uwielbia poetę, jak to uczynił swojego czasu Gervinus, ale nie przypuszcza przynajmniej ataku do mózgu, wątroby i żołądka bohaterów Szekspirowskich.

Praca ta najnowsza pod zbiorowym tytułem: *Seakespare Studien* wyszła w Wiedniu dotąd we dwu tomach, autorem jej baron *Friesen*. Tom pierwszy nosi tytuł: Stara Anglija i Willijam Szekspir; drugi: Utwory dramatyczne W. Szekspira. Oczywista, że autor ma pretensyją, żeby dzieło jego czytano, gdyż poświęcił aż... pół wieku blisko studyjowaniu dzieł poety. Z pierwszego tomu nie wiele nowego dowiaduje się czytelnik, ale znajdzie przynajmniej zestawienie szczegółów o młodości poety, o jego pierwszem wystąpieniu i pierwotnej scenie w Anglii. Najciekawszym ustępem jest tutaj obrona poety od zarzutów, iż był katolikiem potajemnie i poetą dworakiem. Juższić może się znaleźć niebawem inny szekspirolog, który poświęcał także jakie lat 50 studyjom nad poetą i dowieść czegoś wręcz przeciwnego, nie uczyni to jednak ujmy panu Friesen, bo jak się rzekło, nie przesadza ale sądzi trzeźwo. Nie zatrzymujemy się nad drugim tomem i trzecim zapowiedzianym dopiero z podaniem co zawrze, gdyż, o ile nam się zdaje: najpoważniejsze nawet prace tego radzaju wyjątkowe chyba indywidua wiodą do celu, to jest pojęcia i odczucia prawdy psychologicznej, piękności lub szkarady.

Ot ciekawszą byłoby rzeczą obliczyć tomy spisane tylko o wielkim poecie angielskim w języku niemieckim. Liczba ich przewyższyłaby z pewnością tejże treści dzieła angielskie.

Od powodzi komentatorskich pomysłów, nudnych niekiedy lub uciesznych, przejdźmy do powodzi prawdziwej, nie tak jeszcze groźnej jak potop za dni Noego, ale przecie z grozą w zanadrzu dla niektórych okolic świata.

Journal des Dabats podaje dość ciekawe zestawienie ubywania lub wznoszenia się wielu wybrzeży w rozmaitych stronach świata. Już to w pierwszym rzędzie zaniepokojoną została francuska publiczność, rozbiegły się bowiem pogłoski, że wielu najulubieńszym wybrzeżom morskim we Francyi wróżyć można zagładę w niedalekiej przeszłości.

Dziś jednak nie bez przesady. Wieść niosła: morze w szalonym przypływie, stałym, zajmuje po kawałku ziemi, dnie jej są policzone i t. d.— Strach ma wielkie oczy, ale nauka jaśniej widzi i co najnieznośniejsze dla blagi—wszystko obliczy a bardzo rzadko się myli. Otóż co do wznoszenia się pewnych miejscowości obliczono, że przybywa obszaru w ciągu jednego stulecia na metr jeden. Dla pocieszenia się, dla przekonania, że nim woda pochłonie niektóre wybrzeża i obszary nadbrzeżne, to tymczasem wzniosą się inne — pocznijmy od dobywania się nowych lądów z objęć fal słonych.

Norwegskie naprzykład półwyspy wznoszą się. Gelog Buch dowiódł, że cała okolica Frederikshall i Abo, wznosi się, zwolna w prawdzie, ale nieustannie. Podrastanie to zajmuje olbrzymi obszar, gdyż rozciąga się od Norwegii aż do Kamczatki, i dalej aż po zatokę Hudsońską.

Natomiast na wybrzeżu zachodniem Grenlandyi dostrzeżono opadania poziomu w kierunku z północy ku południowi, przedłużające się do 960 kilometrów. Osadnicy przybrzeżni zniewoleni byli umykać od wybrzeży i słupy, służące im do przymocowania czółen, usunąć w głąb kraju. Stare słupy pozostały na miejscu zalane wodą, jako nieme świadki zaszłych zmian na tym lądzie.

W wielu miejscach północnej Europy i Azyi dostrzeżono również znaczne zmiany: jedne z nich zmieniają się w skutek zagłębiania się, inne w skutek podrastania poziomu.

Do najwidoczniej i najszybciej zagłębiających się wybrzeży, należą niektóre ujścia rzek w Ameryce południowej. Nad ujściami Orenok'a i rzeki Amazonek, zatopiło morze niezmierne obszary ziemi. Dużo więc prawdy w owych legendach, które prawią o zatopionych w morzu wyspach i miastach, po nad któremi teraz przepływają statki unoszone parą lub żaglami.

Podrywanie powolne wybrzeży naturalnych dokonywa niekiedy w ciągu kilku stuleci tego, co się dzieje znów innym razem w skutek niespodzianego zagłębiania całego obszaru. Często zaś działają oba czynniki razem. Na wybrzeżu Norfolk naprzykład znikły całe osady i zamki na przestrzeni 32 kilometrów. Jako pomnik dawno minionego życia sterczą tam jeszcze tylko ruiny świątyni w Eccles.

W hrabstwie Sufolk wniknęło w 11 stuleciu z powierzchni całe miasto Dunwick. W 16 stuleciu istniała jeszcze część miasta, którego większa część zanurzyła się w głębi ziemi i wody.

Toż samo postrzeżono u wybrzeży francuskich. Dzisiejsza zatoka Donarnenez w okolicy Brestu (departament Finistèrs) pluska falami na obszarze na którym wznosiło się niegdyś kwitnące miasto *Ys*. W wielu miejscowościach wybrzeży Bretanii i Normandyi odkryto szczątki lasów, domów, miast całych.

Uczony Quinault obliczył, że cały kontynent francuski zagłębić się może w ciągu przyszłych lat tysiąca na dwadzieścia metrów, czyli według naszej starej rachuby blisko na czterdzieści łokci.

W skutek podobnego kaprysu natury mogłoby przyjść do tego, że zachodnie i północne zatoki francuskie i przybrzeża znikłyby zupełnie a za jakie znowu kilkaset lat Paryż stałby się miastem portowem. Za 2,000 lat zaś, aż strach pomyśleć, pływalibyśmy już i nad Paryżem statkami. Tenże uczony twierdzi, że podobny los czeka wszystkie miasta, które nie wyżej, jak 40 metrów położone są nad powierzchnią morza.

Choćby prawdą niezbitą było, co po wiada p. Quinault, to zawsze widoki nowego potopu dalekie, gdyż przypadłby on dopiero za 3000 lat od czasów dzisiejszych. Z drugiej strony zaś pocieszać się możemy tem, że w miarę nastawania wody na nasze posiadłości w jednem miejscu, w innem ustępuje ona i przygotowuje nam lądy nowe. A zresztą dali świętu przykład Holendrzy, jak wydzierać Neptunowi po piędzi z dziedziny jego, gdyby zwłaszcza był zbyt natarczywy.

Kilka tysięcy lat, daleka przyszłość, tymczasem zbudują sobie Francuzi jeszcze jeden gmach opery, pyszniejszy jeszcze, niż otwarty nowy w bieżącym roku, który ma być nie wiem już którym cudem świata, bo mamy ich tyle w bieżącem stuleciu.

Może, któż wie, może do cudów także policzy świat nową kompozycyją Ofenbacha. Aleź bo pracuje nie nad lada czem. Jak wieść niesie, autor „Pięknej Heleny, Życia paryskiego i t. p. przebywa obecnie w Nicei i pracuje nad napisaniem— oto, Mszy świętej. Gdyby powiedziano, że pisze poważną, romantyczno-heroiczną operę, to jeszcze, ale mszę, to coś zakrawa na kaczkę. Wyraźnie przecież donoszą, powtarzają, mszę św., która ma być wy-

konaną na ślubie jego córki Zofii Blanki, wychodzącej za imć pana Eugenijusza Turnel, agenta wekslowego czy handlowego. Już jeżeli nie cud, to będzie to w każdym razie rzecz ciekawa a może... i zdumiewająca.

I otóż jesteśmy na gruncie francuskim, myślą, rozumie się i na niwie umysłowej śledząc ruchy, pytamy: co w tych czasach najżywiej poruszyło umysły stolicy nadsekwańskiej? Może nowa komedyja Dumasa-Halifax? może jaki utwór Sardou? czy wreszcie najświeższa praca starego wieszcza Wiktora Hugo, w której opiewał prozą miłość rodzinną, przedwcześnie zgasłych, bo w sile wieku synów swoich działalność? Wszystko to zainteresowało na chwilę, ale nie było przewidziane i oczekiwane. Niecierpliwie natomiast czekano publikacyi zapowiedzianej przez wydawców paryskich *Lacroix et Cie*, mającej zawrzeć listy *P. J. Proudhon'a.*

Nie dziwota, że czekano, niecierpliwiono się nawet. Wyrocznia krytyki francuskiej Saint-Beuve powiedział, że będą to rzeczy arcyciekawe, że korespondencyja filozofa stanie się kiedyś najważniejszym jego dziełem. Dodał zresztą, iż dzieła Proudhon'a pojąć będzie można dokładnie tylko pod warunkiem, jeśli się przeczyta listy jego. Zdanie to krytyka obiegło wszystkie niemal dzienniki europejskie, a w tych czasach nie ma prawie pisma podającego biografije lub monografije autorów, któreby nie powoływało się na to, co powiedział Saint-Beuve o pojmowaniu ducha autorów.

Skoro więc pojawiły się pierwsze trzy tomy (a ma ich wyjść 8) *Correspondance de P. J. Proudhon. T. 1—3. Paris, Lacroix et Cie. 1875*, to w pierwszym rzędzie zrobił dobry interes nakładca, gdyż kto czekał, chwytał, a któż nie czekał dajmy na to w Paryżu i Francyi całej, jeśli miał w pamięci upomnienie krytyka. Inne pytanie, czy chwyciwszy za dzieło, każdy czytał? Bo przecież zdarzyło się fenomenalnemu autorowi listów, że, tak mówią ludzie, że najgłośniejsza praca jego „La propriètè c'est le vol" (własność jest złodziejstwem) znana była wielu jedynie z tytułu. Prawda, że tytuł sam prawie mówił o wszystkiem, i dla tej prawdy, dość było zagadnąć kogokolwiek, choćby nie Francuza, by odpowiedział z oburzeniem: Znam, znam, at, nonsens!

Przychodzi mi na myśl dość trywijalne porównanie przy pytaniu: jakiemi były pierwsze lata młodości Proudhona? — nie ubliża ono jednak temu filozofowi. Rodzice Piotra Józefa P. pomagali jako ubodzy wyrobnicy warzyć piwo w jednym z browarów w Besançon, a syn ich nawarzył później innego piwa swojemu społeczeństwu. Piotr Józef tedy urodził się w Besançon, w r. 1809 na jednem z przedmieść i tam uczęszczał do szkoły. Rodzice nie byli w stanie sprawić mu nawet potrzebnych książek, ale chłopiec mimo to uczył się pilnie i celował zdolnościami. Poduczony przyjął w drukarni obowiązek korektora i nie przestawał kształcić się o własnych siłach i przy pomocy własnej woli. Najbardziej zajmowała go lingwistyka porównawcza. W roku 1837 a 28 swego życia wystąpił ze swoją pracą. Była to próba utworzenia gramatyki powszechnej. Wówczas prowadził zakład typograficzny w rodzinnem mieście na własną rękę, i niebawem po ogłoszeniu pracy otrzymał od akademii w Besançon, stypendyjum na ukończenie studyjów w Paryżu.

W stolicy otrzymał list, który, kto wie, czy nie wpłynął na całą przyszłość Proudhon'a. Młody biblijotekarz Fallot w Paryżu, pisał do przyjaciela Piotra Józefa P.

„Chcąc nie chcąc, musisz jednak uledz losowi i zostać pisarzem: będziesz filozofem, będziesz gwiazdą dziewietnastego stulecia, w którego kronikach imie twoje zostanie zapisane, jak w siedmnastym wieku zapisano imiona: Gassendi, Descartes, Malebranche, Bacon, a w ośmnastym imiona: Diderot, Montesquieu, Helwecyjusz, Locke, Hume, Holbach. Taki los czeka cię nie wątpliwie! Cokolwiekbyś postanowił teraz, czy zostałbyś zecerem, marszałkiem jakiego dworu, czy się ukrył przed okiem ludzi w samotni — wszystko to na nic się nie przyda, nie ujdziesz przeznaczenia, które cię czeka."

Piszący te słowa Fallot nie dożył już najczynniejszej epoki życia Proudhon'a, która rozpoczęła się w r. 1840, głośnem, a jak ludzie mawiali najmniej czytanem dziełem „o własności".

Obecnie w listach ogłoszonych przez wydawców paryskich, czytamy o powyższej pracy autora własne jego zdanie tej treści: „Żadne ze znanych mi odkryć na polu umiejętności nie wywołało takiego wrażenia, jakie zdolna wywołać praca moja. Nie mówiąc już nic o zrozumieniu tego dzieła przez ludzi, dodam jedynie: niech je czytają, a stare społeczeństwo zniknie."

Tę wiarę we własne pomysły zbawcze zachował aż do ostatniej chwili życia; we wszystkich pracach jego o kwestyi socyjalnej, przebija ta wiara w siebie.

Że się mylił grubo i niejednokrotnie, to prawda, ale niemniej prawdą jest nieskazitelność charakteru tego człowieka, który nie miał w życiu prawdziwych przyjaciół. Listy jego świadczą, iż nie zawachał się nigdy wypowiedzieć prawdy, tak dobrze stronictwu wrogiemu sobie, jak i temu, które choć nie podzielało jego zasad, to je tolerowało przynajmniej. Sam on charakteryzuje siebie, dość niekorzystnie. Powiada: „Nie łatwo się zadowalniam, jestem ponury, podejrzliwy i nie lubię ludzi."

To usposobienie utrudniało mu drogę na którą wszedł. Chciał być reformatorem społecznym a nie chciał jednać sobie serc w żadnym z obozów.

W liście, pisanym w roku 1840 do akademii w Besançon pisze: „Nie mam protektorów, nie mam zwolenników, ani uczniów. Nie wytwarzam sobie sekty i nie przyjąłbym za nic roli trybuna ludowego, choćby mi ją ofiarowano a to jedynie dla tego, że chcę pozostać niezależnym, że nie chcę zostać niewolnikiem namiętności".

W roku 1848 zwracał się ze swojemi pomysłami o przeobrażeniu społeczeństwa do ówczesnych demokratów i socyjalistów, ci jednak odepchnęli go, z tej prostej przyczyny, iż Proudhon myślał o ogóle, a ludzie najgłośniejsi podówczas, myśleli o osobistej roli, o wzniesieniu się. Tak ich osądził w swoich listach, i pod tym względem nie mylił się. Wybrany przez miasto Paryż do Zgromadzenia narodowego jako deputowany, wszedł tam i wnet osądził zwolenników niby swoich tak:

„Jestem wreszcie w pośród potworów socyjalno-demokratycznych, pomiędzy panami Blanqui, Barbès i Raspail. W chwili tej, po przeglądzie całego sztabu rewolucyjnego, osądziłem ich; tak widziałem ich, poznałem i sądzę. Mógłbym o tych ludziach zdać sprawę wyczerpującą, któraby zajęła wcale ciekawy ustęp w moich pamiętnikach. Jednego z nich nazwałbym zacnym fanatykiem, innego retorem, demagogiem i zwykłym, próżnym pyszałkiem, jeszcze zaś inny mógłby według mnie uchodzić za pozbawionego zdrowych zmysłów za... postrzelonego, i tacy oni wszyscy niemal. Oglądając się dalej, postrzegam z pozoru człowieka niby pełnego szlachetnych aspiracyj, a w gruncie, w duszy przebiegłego lisa; dalej jeszcze obok mniej więcej wspaniałomyślnego przywódzcy, nikczemnego, chciwego okrótnego służalca, u boku lwa—szakala!"

d. c. n.

POGADANKI OGRODNICZE.

przez

Edmunda Jankowskiego.

Kandydata nauk przyrodzonych

Starszego ogrodnika w ogrodzie pomologicznym w Warszawie.

III.

Sadzenie w szachownicę i wyznaczenie miejsc dla drzew — przygotowanie dołów — wybór drzewek — kiedy sadzić należy? — czynność sadzenia — pale.

Najwłaściwiej sadzić drzewa w piątkę, czyli w szachownicę t. j. tak żeby każde z nich znajdowało się w samym środku kwadratu uformowanego przez cztery inne najbliżej stojące. Drzewa w ten sposób sadzone rozporządzają większą przestrzenią w której korona ich swobodnie rozwijać się może, niż drzewa sadzone w kwadrat przy zachowaniu tychże samych odległości między linijami i pojedyńczemi drzewami w każdej linii. Sadzenie w szachownicę tak okazało się korzystnem, że ogrodnicy posługują się niem nie tylko przy sadzeniu drzew owocowych, lecz również jarzyn i kwiatów. Wyznaczać miejsce drzew w takiej szachownicy wcale nie trudno, dosyć tylko przeciągnąć linię prostą, równoległą do płotu sadu lub jednej z dróg na skrajach tegoż będących, a wziąwszy ją za podstawę, poprowadzić, 2-ą, 3-ą linije i następne równoległe w odległości przypuśćmy 12 łokci, jeżeli taki odstęp między drzewami zachować chcemy. Początek linii podstawowej oznacza nam położenie 1-go drzewa, 2-gie stanie o 12 łokci dalej na tejże linii, 3-cie znów o 12 łokci i t. d. W drugiej linii pierwsze drzewo znajdzie się na 6 łokci od jej początku, następne na 12 od pierwszego, a inne w porządku co 12 łokci.

Miejsca dla drzew wytyka się palikami, a każdy taki pal oznacza nam zarazem środek dołu jaki pod drzewo wykopać należy. Przygotowanie dołów jest czynnością wielkiej wagi, bo idzie tu o dopomożenie drzewu do jak-

najsilniejszego rozrośnięcia się, o zaopatrzenie go w materyjały pożywne, które mu na długie lata wystarczyć mają. Doły kopać powinniśmy w jesieni o ile można wcześnie i nie podczas wielkich deszczów, bo wtedy ziemia wyrzucona nie kruszeje potem tak łatwo na powietrzu, nie ulega jego pożytecznemu wpływowi, w bryły się zbija. Głębokość i szerokość dołów, jak łatwo powiedzieć, zależeć musi od gatunku ziemi z jaką mamy do czynienia; im grunt gorszy, tem doły powinny być obszerniejsze a doprawa ich staranniejsza, bo w takiej ziemi drzewo ograniczać się będzie musiało głównie na samym dole, nie mogąc zasilać się z otaczającego jałowego gruntu. Głębokość $1\frac{1}{2}$ — 2 łokciowa przy szerokości 2—3 łokciowej wystarcza zwykle, jakkolwiek lepiej jest wybierać doły 4—6 łokci średnicy mające. Nakład na takie doły z lichwą się zwróci. Przy wyrzucaniu ziemi koniecznie potrzeba ziemię z każdej warstwy zajmowanej łopatą (a więc z pierwszej łopaty z drugiej i t. d.) wyrzucać na osobną kupkę, wykonywając tem samem sortowanie jej na dobrą, średnią i gorszą. Przygotowane w ten sposób doły spokojnie przeleżą do wiosny. Dno ich i boki jak również i ziemia z dołu wyrzucona pod wpływem zmian temperatury i wilgoci powietrza kruszeją, przetrawiają się, przestają być ziemią martwą, do żywienia roślin niezdatną. Dobrze jest także pomyśleć w tej porze o doprawieniu dołów zasilając je nawozami dla drzew pożytecznemi. Do takich należą kawałki szmat, szerści, rogów, kości, faszyna, kawałki rogów i kopyt, szlam i darnina, torf a wszystko to o ile możności przetrawione już, przez roczne przynajmniej leżenie na kupie, gdzie materyje te polewano, od czasu do czasu gnojówką lub mydlinami, dorzucając popiołów z drzewa Taki kompost wybornym jest nawozem gdy się go z ziemią pomięsza.

Gdybyśmy mieli do czynienia z gruntem piaszczystym, wypada nad brzegi każdego dołu nawieść po furze gliny dobrej nie będącej w stanie lepkim, ani też pochodzącej ze zbyt głębokiej a więc nieulegającej działaniu powietrza warstwy.

Przygotować dobrze doły nie trudno, daleko trudniej zaopatrzyć się w drzewka, posiadające warunki do utworzenia porządnego sadu potrzebne. Przy wyborze drzewek zważa się najprzód na ich pochodzenie co do klimatu. Najwłaściwiej brać drzewa z miejscowości zbliżony klimat mających, można także szukać szczepków w klimacie ostrzejszym lecz nie w łagodniejszym, bo wtedy łatwiej marzną. Szkółka z której drzewka bierzemy, powina znajdować się w miejscu otwartem swobodny dostęp powietrza i światła mającem, nie leżeć zbyt nisko w dolinie ani zbyt wysoko w górach. Grunt w szkółce niech będzie tych samych własności co w sadzie naszym, zresztą korzystniej jest brać szczepki z gruntu cokolwiek gorszego, lecz o tyle dobrego żeby drzewa w nim zdrowo rosły. Drzewa z gruntu mierzwionego po przesadzeniu wtedy tylko mogą rosnąć zadawalniająco, jeżeli doły zaprawione są ze szczególną starannością, w przeciwnym razie przestają rosnąć przynajmniej w ciągu pierwszych kilku lat po przesadzeniu. Toż samo powiedzieć można o drzewach przeniesionych z żyznego gruntu gliniastego w piaszczysty.

Co do wieku drzew, to najdogodniej brać drzewa 4—6 letnie już uformowaną koronę mające, pod tym wszakże warunkiem że je starannie w szkółce wykopano, co niestety rzadko ma miejsce. Dla tego to lepiej sadzić drzewa młodsze, i koronę na miejscu formować. W dalszym ciągu opiszemy tę czynność szczegółowo.

Jeżeli drzewa po wykopaniu mają odbyć znaczną podróż, bardzo korzystnie jest korzenie ich zanurzyć w polewce zrobionej z gliny i gnójówki i następnie ziemią lub popiołem obsypać. Taka manipulacyja zabezpiecza korzenie od wysychania, a nadto dopomaga do przyjęcia się drzewa, gdyż nowo powstające korzoneczki znajdują obfity pokarm. Prócz tego drzewa takie w drogę wysyłane, powinny mieć korzenie obłożone grubą warstwą mchu suchego, a na wierzch słomą lub jeszcze na słomę rogóżką obszyte, jeżeli wielkie mrozy znieść będą musiały.

Często daje się słyszeć pytanie? kiedy drzewa sadzić należy. Odpowiedź łatwa: zależy to od gruntu, i tak: w gruntach lekkich podległych suszy, bezwarunkowo należy dać pierwszeństwo sadzeniu jesiennemu. Wtedy bowiem posadzone szczepki jeszcze przed zimą puszczają młode korzonki, lub przynajmniej napojone wilgocią której w żadnym gruncie w tej i następnej porze roku nie brak, szykują się do nowego życia z wiosną. Gdzie jednak słońce nie osusza ziemi spalając jej powierzchnią na popiół, gdzie grunt tęgi gliniasty przejęty wilgocią, tam strzedz się trzeba sadzić drzewa przed wiosną, bo korzenie posadzonych w jesieni często gniją od zbytku wilgoci. Znakomity współczesny ogrodnik Baltet radzi sadzić drzewa o ile można najwcześniej w jesieni a więc, natychmiast po ustaniu rocznej roślinności, i o ile można najpóźniej na wiosnę, a zatem zawsze przed pęknięciem pączków.

Drzewka przysłane w jesieni doskonale do wiosny przechować można w *zadołowaniu*. W tym celu wykopuje się dołek niezbyt głęboki przyczem ziemię się odrzuca tak iżby wał spadzisty nad brzegiem dołka stanowiła i układa się drzewo jedno obok drugiego tak ażeby korzenie same znalazły się w dołku, przyczem łodygi przyjmą położenie mocno pochyłe. Same tylko korzenie należy ziemią przykryć, udeptać ją, a w razie silnych mrozów słomiastą mierzwą okryć.

Gdyby drzewka przysłane, były zmarznięte, wtedy najlepiej będzie nie rozpakowywać ich wcale, lecz wstawić do chłodnej piwnicy, a potem powoli przenosić do coraz cieplejszej aż póki zupełnie nie odstają.

Jeżeli kora na drzewach pomarszczona jest, to dowodem że silnie wyschły, wtedy najlepiej będzie zakopać je całkiem w ziemi w raz z łodygami w piwnicy lub na gruncie na tydzień przynajmniej. W skutek czego, wilgoci nabiorą i starannie posadzone tak dobrze przyjąć się mogą, że śladów zasuszenia dopatrzeć się nie będzie można. Przed posadzeniem należy korzenie drzew starannie opatrzyć i ostrym nożem końce ich poobcinać. Końce te od obcięcia szpadlem, przerwania lub zadrapania zwykle są poszarpane i w ziemi najniewątpliwiej gnić by musiały, a gnilizna postępując coraz dalej udzieliłby się mogła i wszystkim innym, co śmierć drzewa ściąga. Rany ostrym nożem zadane szybko się goją, a nadewszystko tworzy się na ich brzegach poduszeczka z tkanki twórczej zwanej miazgą (cambium) i z niej wkrótce wychodzą liczne korzenie. Doświadczenie nauczyło że nacięcia robione nożem ukośnie tak, aby zwrócone były do dna dołu całą płaszczyzną nie zaś do jego boków, goją się łatwiej. Jeżeli na grubych korzeniach zdarzą się zadrapania, należy wyciąć miejsce skaleczone nożem aż do zdrowego drzewa i ranę maścią ogrodniczą zamazać.

Samo sadzenie wykonywa się w sposób następujący. Dobrą ziemię, pomięszaną z kompostem lub w braku tegoż z trocinami, śmieciami, wiórzyskiem, rzucamy na dno dołu starając się uformować z niej w samym środku kopiec aż do wierzchu dołu dochodzący. Na tym kopcu usadzamy drzewo rozprowadzając korzenie ręką na wszystkie strony po spadzistości kopca, bacząc żeby się nie plątały i niezawijały *). Niezmiernie ważną jest rzeczą sadzić drzewo ani za płytko ani za głęboko. W pierwszym razie korzenie znajdujące się na powierzchni ziemi schną, soku przypływa mniej i drzewo słabiej rośnie; w drugim powietrze nie dostaje się do korzeni, a przez to czynności ich bardzo są utrudnione; prócz tego w gruntach tęgich korzonki od wilgoci łatwo gniją. Żeby drzewo dobrze co do głębokości posadzić, należy nad rowem położyć łatę lub pal opierając go oboma końcami o boki rowu, a następnie sadząc drzewo na kopcu uważać żeby korzenie wychodziły cokolwiek wyżej nad poziom przez dolną powierzchnię łaty wskazany. Pamiętać bowiem potrzeba że przesadzone drzewo osiądzie się w raz z ziemią a więc zagłębi się nieco, a to tembardziej im jest cięższe. W gruncie lekkim korzenie mogą się znaleść nawet na 2 cale pod poziomem a jeszcze drzewo szkody stąd żadnej nie poniesie, lecz w gruncie ciężkim, wilgotnym, sadzić koniecznie wypada na równi z poziomem.

Powracamy do samej czynności sadzenia.

Gdy korzenie już zostały należycie rozłożone przysypujemy je ziemią o ile można jaknajlepszą. Dobrze jest do tego użyć ziemi inspektowej, albo przetrawionej kompostowej, albo wreszcie cokolwiek odleżałej olszowej, znajdującej się tu i owdzie w lasach około ściętych pniów. W takiej dobrej ziemi powstają łatwo nowe korzonki a od tego właśnie przyjęcie drzewa zawisło.

Obrzucając korzenie, ziemię przy podrzucaniu łopatą podbijać należy, żeby padała nie w bryłkach lecz gęstym deszczem, a w takim razie niepotrzeba już drzewem wstrząsać, czego dawniej wadliwie używano, bo raz ułożone korzonki miejsca swego zmieniać nie powinny. Po uskutecznieniu powyższej czynności pozostałą próżnię, zasypujemy resztującą zie-

*) Pomiędzy grube korzenie wsadzamy ostrożnie kamień żeby je w rozpostartem położeniu utrzymać.

mią, i ta może już być najgorsza, bo korzenie drzew nie w wierzchniej warstwie lecz w głębszych, rozgałęziać się będą.

Bardzo szkodliwą jest rzeczą podnoszenie drzewa już posadzonego, ciągnącje za łodygę. W skutek takiego postępowania wszystkie korzenie skupiają się i plączą, a próżnie pomiędzy niemi powstałe, niezapełniają się ziemią, w pozostałych zaś pomiędzy korzeniami przestworach, pleśń powstaje i rzuca się na drzewo. Przyleganie ziemi do korzeni tak ważną jest rzeczą, że po posadzeniu drzewa należy je pod lać obficie przez sitko. Woda w tym razie nie służy na pokarm lecz unosząc z sobą cząstki ziemi zapełnia niemi doskonale wszystkie szczeliny. Takie podlewanie po posadzeniu nazywa się *szlamowaniem* i bez porównania lepszem jest w skutkach od udeptywania, przy którem korzenie wyginają się lub od zbytniego obciśnięcia ziemią, cierpią. Nieszlamuje się tylko drzew sadzonych w późnej, jesieni, w dniu dżystym lub w gruncie mokrym.

Żeby woda, bardzo potrzebna dla drzewka nieprzyjętego w pierwszym szczególnie roku, do korzeni dostać się mogła, należy w około pnia ręką zrobić mały kolisty rowek.

Jeżeli obawiamy się w nocy mrozu lub też sadzimy na wiosnę, kiedy grunt już z łatwością wysycha, niepowinniśmy zaniedbywać wysłać ziemię w około drzewka słomiastym gnojem lub słomą, co zabezpiecza od mrozu i wysychania.

Przy sadzeniu nie ma potrzeby zważać na zwracanie drzewa tą stroną na południe, którą było w szkółce skierowane.

Drzewa dobrze w szkółce prowadzone potrafią stać o swojej mocy i bez pala, że zaś dosyć są proste, prostować ich przeto nie ma potrzeby; lecz takie drzewka napotkać trudno; starać się więc należy żeby pal jaknajmniej drzewu szkodził, i odrzucić go jak można najprędzej.

Zwykle dotąd pale robią bardzo grube aż do korony sięgające, często nawet wierzchołkiem między gałęzie wchodzące, wiążą zaś drzewo do pala witkami. Obdrapanie kory w wielu miejscach, jej odgniecenie od obwiązek są bezpośrednim wynikiem takiego postępowania. Dodać też potrzeba że drzewo przy palu stojące jest jak dziecię na pasku wodzone; nie poddaje się dobroczynnemu działaniu wiatru w skutek którego soki szybciej krążą, mało rośnie na grubość i długo jest wątłe po odjęciu podpory, bo tylko walka wyrabia siły, a pasowanie się z wiatrem jest dla drzewa walką.

Najwłaściwiej dawać 2 pale dla drzew, znajdujące się od pnia w kilkucalowej odległości, w tym bowiem razie drzewo między oboma przywiązane, nie jest pozbawione pewnego ruchu, a kora od podpory nie obciera się. W ostatnim razie można używać i jednego pala umieszczając go w dole przed sadzeniem drzewa, od zachodu, bo z tej strony najwieksze dmą wiatry. Wiąże się łoziną u dołu i w środku opisując na około pala i drzewa ósemkę bo tym sposobem podkładka z łoziny pośredniczy pomiędzy drzewem i podporą, niedozwalając obcinania się. Pal nie powinien dosięgać kory, a u jego wierzchołka daje się trzecią przewiązkę, jeżeli być może z kawałka rzemienia. Mchu nie należy podkładać bo w nim owady się lęgną.

Pale usuwać się powinno po dwóch albo trzech latach, gdy już drzewa wyrównały się dostatecznie, i o własnej mocy stać mogą. Źle jest odejmować pale w czasie wielkich wiatrów, bo drzewa połamać się mogą, najlepiej zaś uskuteczniać to w lecie.

ŚLADY ŻYCIA.

IX.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Przed laty jeszcze 20-tu zawiązała się u nas „Spółka jedwabnicza“ Dzięki najniedołężniejszemu zarządowi, interesa tej spółki doszły do tak smutnego stanu, iż dalsze jej istnienie wydawało się nie możliwem, w skutek czego pp. zarządzający zaproponowali rozwiązanie onej i likwidacyją...Przed zastosowaniem tak radykalnego środka, akcyjonarjusze spółki, postanowili zbadać jednakże powody tych smutnych i nieprzewidzianych rezultatów, wyznaczając na ten cel odpowiednią komisyją rewizyjną, złożoną z 12 członków.

W zaprzeszły otóż Czwartek dnia 18 Lutego r. b. Komisyja owa, zdawała sprawę ze swych czynności *sześcio tygodniowych* — i... ażeśmy się zdumieli, że znalazła się u nas „Komisyja rewizyjna“ której o rzecz a nie o blagę chodziło.

Sprawozdanie Komisyi czytał p. Władysław Noskowski, a wszyscy zebrani przysłuchiwali mu się z wytężoną uwagą, nabierając przekonania, że bardziej jak smutny stan interesów swoich, akcyjonarjusze obowiązani są zarządowi spółki wogóle a p. Dyrektorowi zarządu w szczególności. Ten ostatni jako jednocześnie właściciel gruntów dzierżawionych wieczyście przez spółkę, jak mówi sprawozdanie gmatwał rachunki, i pomimo wezwań nigdy ich przedstawić nie chciał. Co prawda podobny Zarząd i do tego przez lat 20 stale się utrzymujący, nie koniecznie dobre wyobrażenie daje o całej naszej spółce jedwabniczej, ale o tem potem, tymczasem i to Bogu chwała, że jedwabnictwo nasze nie przepadło przecie ostatecznie.

Komisyja przedstawiła szereg wniosków mających na celu uregulowanie interesów Spółki a Zgromadzenie potwierdziło te wnioski, potwierdzając jednocześnie propozycyją znanego miłośnika jedwabnictwa Tomasza barona Dangla, przełożoną przez p. Japowicza. P. Dangel zaproponował iżby mu Spółka oddała w używalność plantacyją morwową na Czystem, w zamian za co zobowiązał się sad cały ogrodzić, uporządkować i uorganizować rozwijalnię, za co po latach 6, tytułem zwrotu wyłożonych kosztów otrzyma odpowiednią ilość akcyj spółki.

Co do rachunków, zaległości po rok 1875 zaspokoić ma dotychczasowa Rada, z własnej kieszeni, przyszła zaś Rada uregulować ma rachunki, z występującym dyrektorem Spółki p. A. Biernackim.

Na zakończenie przystąpiono do głosowania, skutkiem którego wybrani zostali do Rady Nadzorczej: pp. baron Dangel Tomasz (głosów 60), Nagórny Antoni (59), Sikorski Józef (55), Sygietyński Leon (52), Helbich Józef (51), Wernicki Wacław (45), Hubert Leopold (42), Noskowski Jan (37), Majewski Wincenty (36), Kleczeński Roman (33), Smoleński Maciej (25).

Do Komisyi Rewizyjnej wybrani zostali pp. Makowiecki Aleksander (53), Czernicki Gustaw (52), Sulimierski Filip (41), Święcicki Jan (40), Jankowski Edmund (39), Szumlański Konstanty (30), Kurtz Lucyjan (28).

Spółka więc jedwabnicza ma znowu zapewnioną przyszłość na lat *sześć*, a jedwabnictwo krajowe mamy nadzieję, znajdzie w niej skuteczne poparcie.

Bodajto nasze środki lokomocyjne! — bodajto komunikacyj. Pragi z Warszawą! Tak zawodzili biedni Prażanie gdy przez parę tygodni sławne omnibusy Kolei konnej nie kursowały zupełnie. I dla czego? Ha to już tajemnica Zarządu tejże kolei—który jest niewiadomo gdzie i który z potrzeb i wygody publiczności, przyzwyczaił się nic sobie już nie robić.

Dzięki tedy takim okolicznościom mieszkańcy Pragi kopać się muszą w śniegu lub brnąć nieraz po błocie per pedes. Gdybyż chociaż zwyczajne omnibusy żydowskie, rozumiały swój własny tylko interes—i korzystając z nieobecności swych żelaznych rywalów starały się ich zastąpić! Gdzie tam!! Obszarpane te wehikuły peregrynują w ten sposób że albo wszystkie razem stoją na Nowym-Zjeździe albo wszystkie na Pradze. Czy podobna manipulacyja ruchu omnibusowego, wychodzi przedsiębiercom na dobre nie będziemy zgłębiać; zdaje nam się jednakże, że przy wdaniu się w tę sprawę policyi Warszawskiej czy nawet pragskiej—jakakolwiek reforma zaprowadzoną by tu być mogła.

W niektórych u nas instytucyjach prywatnych pod względem przyjmowania urzędników dziwny istnieje zwyczaj. Urzędnik wstępujący do służby, nie dostaje żadnego dowodu—że został i na jakich warunkach przyjęty;— ot dostaje „miejsce“ po prostu jakby dzienny najemnik bez pewności jutra co gorsza bez pewności co do wysokości zarobkowej pracy. Dziś bowiem Zarząd może mu przeznaczyć inną, jutro inną pensyją. Słowem dziwna to powtórzymy manipulacyja! Wszakże gospodarz np. wiejski, przyjmując chociażby karbowego, zawiera z nim jakąś piśmienną zwykle umowę; czyżby więc urzędnicy znaczniejszych nawet instytucyj prywatnych niżej od karbowych stawiani być mieli.— Ha prawda, dziś nastały czasy w których ludzi można każdej chwili na osobistą własność nabywać; pocóż więc robić sobie ambaras z jakiemiś tam umowami na piśmie, z jakiemiś nominacyjami.— Z nominacyją czy bez nominacyi będzie to tylko nabyty biały murzyn i —basta.

Znowu ze swery pracy kobiecej przychodzi nam zanotować wybitniejszy *ślad życia*. W Częstochowie otwartą została *introligatornia kobiet* pod firmą: Wilner i S-ka. Nowy ten zakład zatrudnia już obecnie 7 panien—a że przybędzie mu więcej pracownic o tem nie-

podobna wątpić. Introligatornia, jak opiewa rozesłany cennik, przyjmuje obstalunki na wszelkie wyroby galanteryjne z papieru, bonbonierki, pudełka apteczne i t. p.

Fakta tego rodzaju, tem więcej są pocieszające, gdy odnoszą się one do miast i miasteczek prowincyjonalnych. — Tam to bowiem, rzemiosła jak wiemy, w dziewiczym jeszcze prezentują się stanie; tam więc i dla pracy rękodzielniczej kobiet, najlepsza niewątpliwie uśmiecha się szansa.

W jednej z prowincyjonalnych pensyj żeńskich, ze szczególniejszego rodzaju ostentacyjmi odbywają się wszelkie imieniny: czy to samej przełożonej zakładu czy którejkolwiek z nauczycielek. Naturalnie osią tych ostentacyj są prezenty składkowe pensyjonarek, i to prezenty *nakazywane z urzędu*. Nauczycielki zarządzają składkę na imieniny przełożonej—przełożona robi to samo gdy nadchodzą imieniny którejkolwiek z nauczycielek, i tym sposobem prezenta imieninowe, tworzą w budżecie pensyjonarek, a raczej w budżecie ich rodziców, dość poważne sumki:—nie licząc już tej okoliczności że każde takie uroczyste obchodzenie dni solenizantek, jest przeszkodą w nauce. Niekiedy też pomysły co do prezentów oryginalne bywają. Tak np: na ostatnie imieniny przełożonej, uczennice (jak się wyraża donoszący nam o tem korespondent) „dostały polecenie kupić *krowę z cielęciem*“— i tak się też stało. Prezent ów czworonożny przystrojony w koronę z kwiatów i liści, przeprowadzony został „z pensyją“ przez uczennice do mieszkania (w drugim domu) solenizantki gdzie też mile został przyjętym. Przeciwko składaniu życzeń, paniom przełożonym przez kochające ich uczennice nic zupełnie nie mamy; aby jednak, serdeczność ta wzajemnego stosunku objawiać się miała w postaci kosztownych i co więcej nakazywanych prezentów — w postaci np. krów z cielętami, no co do tego pozwolilibyśmy sobie, położyć maleńkie veto.

Niedawno w piśmie naszem zwracaliśmy uwagę na rozpowszechnienie wśród młodzieży gimnazyjalnej w Warszawie, gry bilardowej a obecnie w Wieku „Jeden z ojców“ na tę samę plagę narzeka. Kawiarnie restauracyje, bawaryje, i t. p. pisze skłopotany widocznie ojciec, mieszczące się przy ulicach bocznych a połączone zawsze z bilardem, i z tajemnym od podwórza wchodem— utrzymywane przytem, przez nibyto ucywilizowanych starozakonnych, przeznacza się prawie wyłącznie dla pp. uczniów gimnazyjów lub innych naukowych zakładów. W knajpach usłużny gospodarz otwiera swym gościom drogo naturalnie opłacany kredyt—rozkłada zwrot długu na najdrobniejsze raty, robi słowem, wszelkie ułatwienia (!!) byleby młodzi klijenci jak najczęściej odwiedzali — gościnny zakładzik — ćwicząc się w grze bilardowej i ciągnąc przy tem bawara lub „zaprawną wódką herbatę“ Niemniejszą też według korespondenta plagą, są dystrybucyje z tak zwanemi dystrybutorkami. Tu młodzież, w zwykle za sklepikiem mieszczącym się pokoiku—zaciąga się z całą swobodą tytuniowym dymkiem... w towarzystwie *panien* dystrybutorek — i tutaj to młodzi amatorowie papierosów, pasują się zawczasu na zdemoralizowanych zdechlaczków i donkiszotów ulicznych. Trzecią nakoniec dla młodzieży gimnazyjalnej plagą, jest wyzyskiwanie tejże przez tak zwanych antykwaryjuszów, za pośrednictwem pseudo-księgarskiego handelku. W chwili gdy młodzieńcy kończą rok szkolny, antykwaryjusze kupują od nich książki szkolne za bezcen i zatarłszy wszelkie ślady (na książkch) nazwisk i napisów—okleiwszy wreszcie stary i tanio nabyty towar nową okładką, oczekują rozpoczęcia znów roku szkolnego, by z lichwiarskim naturalnie procentem— książki odprzedać.

W istocie są to plagi bodaj czy nie cięższe aniżeli (w swoim czasie) egipskie. Choćbyśmy jednak na temat plag tych całe napisali tomy—to same te lamenty nie na wiele przydać się mogą. Tu—obok stanowczej interwencyi władzy szkolnej, potrzeba nadto czynnego współdziałania ze strony rodziców i opiekunów uczącej się młodzieży. Niech czuwający nad przyszłością młodego pokolenia, niech zresztą każdy z ludzi dobrze myślących, wskazuje wprost władzy szkolnej, takie np. uczniowskie knajpy czy dystrybucyjki — niech władza szkolna postara się o ściślejszą nad tego rodzaju zakładami kontrolę—niech takie knajpy będą przez właściwą zwierzchność odwiedzane znienacka, a złe — wydzierające dziś społeczeństwu całe setki ofiar, zmniejszyć się musi.

Szanowny Redaktorze!

Sztuka u nas stanęła bez kwestyi bardzo wysoko i śmiało może rywalizować z najcelniejszemi utworami artystycznemi zachodu: obok tego rzecz dziwna nie mamy wcale artystycznej krytyki, albo raczej mamy taką tylko krytykę, która tumaniąc oczy publiczności wcale nie wpływa na postęp sztuki, bo artyści muszą powierzchowne sądy lekce sobie ważyć.

Między innemi krytykami pan Struve występuje często z pełnemi pretensyi estetycznemi studyjami, które tem są gorsze iż przy wszystkich pozorach sumiennego i wytrawnego sądu, są w gruncie rzeczy próżną frazeologiją. Wnioski p. Struvego nie gruntują się na żadnych podstawach, lecz są wynikiem powierzchownej lub fałszywej znajomości artystycznych stosunków, lub też z góry powziętych uprzedzeń ku pewnym sztuki kierunkom.

Ostatnie studyjum p. Struvego, tyczące się profesora Monachijskiej akademji Wagnera (Kłosy Nr. 497) wywołało te kilka uwag z dawna w imie prawdy należnych.

Wagner którego nawet tak stronni dla wszystkiego co z pomiędzy nich wyszło Niemcy, niekwapili się na piedestał mistrzowstwa wynieść, zostaje u p. Struvego pierwszorzędną artystyczną potęgą a obraz który budzi najżywsze uwielbienie w p. Struvem „Wyścigi w rzymskim cyrku“ ma być utworem krystalizującym w sobie duch Rzymu, jednoczącym wszystkie warunki wymagalne od największych artystycznych arcydzieł.

Działalność p. Wagnera jako artysty znana nam jest z wielu stron. Wagner nigdy nie był samodzielnym talentem; skrawki innych mistrzów z których się składa jego artyzm noszą na sobie bardzo wybitne cechy braku oryginalnej myśli i ducha. Pojęcie natury ogólnikowe, kilka typów koni i ludzi któremi we wszystkich obrazach szarżuje, nie dają mu bynajmniej prawa do tytułu mistrza, Technika o ile wiemy na to służy artyście, by mógł jak najlepiej wyrazić swoje myśli i odtwarzać naturę we wszystkich jej objawach, do techniki też należą i rysunek i koloryt. Pierwszy jako tako trzyma się jeszcze, drugi jest manijerą od a, do z, manijerą stereotypową i dla każdego obrazu ryże cienie i błękitne półtony jak i u Pillotego powtarzają się do obrzydliwości.

Ale to rzecz gustu—dla p. Struvego to: „olśniewający blask kolorytu“—dla mnie to tylko niedołęztwo.

Przechodząc do „wyścigów w cyrku“ p. Struve mówi: „to nie są zwyczajne konie które na naszych nowożytnych wyścigach spotykamy: nie—to są konie w które naród rzymski całą swą duszę przelał; konie dla których dumny rzymianin, przynosił w ofierze wszystko co tylko posiadał, i godność osobistą, i władzę nad światem“

Tak więc dla pana Struwego są one symboliką rzymskiego ducha, streszczają w sobie światowładną Rzymian potęgę—a tymczasem przyjrzyjcie się tym rozhukanym hetkom a przyznacie iż pierwszy lepszy szlachcic ukraiński podobne ba! nawet lepsze wyścigi na swojem podwórku dać może. Zapytajcie prawdziwych znawców i amatorów koni a zobaczycie co oni na to powiedzą. W dodatku przednia grupa jest nędznie rysowaną i wcale nie leci ale wisi jakby na pasach w powietrzu. Tyle co do Wagnera i sądu o nim p. Struvego a teraz w kwestyi fałszów faktycznych i fałszywych stąd wniosków co do stosunku Wagnera do polskich artystów.

P. Struve jak wszyscy powierzchowni estetycy mniema że szkoła — nauczyciele tworzą artystów—codzienne fakta z życia artystycznego najzupełniej to zdanie zbijają. Szkoła nauczyciel dają tylko we władanie talentu stronę materyjalną sztuki, uczą rysować i malować ale nie wyuczą artyzmu; nie wleją w nikogo ducha, i talenta samodzielne to jest prawdziwie artystyczne, nigdy się nie dają wpływem nauczyciela powodować, a cóż dopiero kiedy talent mistrza, stoi niżej od talentu ucznia!

P. Struve bez zająknienia robi uczniami Wagnera najsamodzielniejszych naszych artystów, obdziera ich z własnej chwały żeby przykryć kusym płaszczykiem Wagnerowskiej glory. Gierymski ten oryginalny badacz natury, ten do szpiku kości samodzielny artysta, który sam stworzył sobie drogę nic od nikogo nie wziąwszy a żywiąc wielu swoim talentem, zmarł nie mając poprzedników nie zostawiwszy następcy otoczony, chwałą i uznaniem z których p. Struwe najspokojniej go obdziera mówiąc że wyszedł ze szkoły Wagnera, przypisując Wagnerowi wpływ na kierunek jego pracy. Długim jeszcze sromotniej pokrzywdzonym na sławie artystycznej jest p. Chełmoński, któremu p. Struve wymawia że jest naśladowcą Wagnera żałuje tylko że przesadza i odstępuje od świetnej mistrza drogi. Na to odpowiemy: że Ch. „za przykładem Wagnera obrał sobie za główną specyjalność malowawanie koni“ o tem wie każdy kto się sztuką

krajową interesuje gdyż przed wyjazdem za granicę już Chełmoński malował konie i tem zyskał sobie uznanie i dobre imię. To raz. Powtóre: szkoła Wagnera jest szkołą malowania a nie kompozycyi, o koniach w niej nawet nie ma mowy i Wagner uczy tam li tylko techniki malarskiej, nie wpływając bynajmniej na artystyczny kierunek uczniów. Po trzecie: p. Chełmoński w szkole Wagnera nie pracował, poszedł raz i rzucił bo nie miał żadnych z Wagnerem stosunków: był u niego raz kiedy się starał o przyjęcie do szkoły, a widząc obraz na sztalugach powiedział: „No te konie nigdy już nogami do ziemi niedostaną." Od tej chwili nigdy się z nim nie widywał, żadnych rad nie przyjmował a pracował samodzielnie w swojej pracowni. Jaką więc drogą, mógł nań Wagner wpływ wywierać?

Fakta mówią za siebie zostawmy je bez żadnych komentarzy...

Zechciej Szanowny Redaktorze umieścić w twojem piśmie tych kilka uwag, które oby natchnęły naszych sędziów do sumienniejszej pracy i myślenia.

Stanisław Witkiewicz.

Warszawa
w Styczniu 1875 r.

ROZMAITOŚCI.

— Komisyja odczytów ludowych w Cesarstwie odbyła w Styczniu, posiedzenie wielce interesujące.

Odczytano list od jenerała Daragana, przemawiającego w imieniu dwustu osób, które słuchały w muzeum pedagogicznem odczytów prywatnych, z programem obejmującym wszystkie gałęzie nauk przyrodzonych. Z powodu zaprzestania tych odczytów przez pana Herdta, jenerał oświadcza, że kółko słuchaczy uznaje takowe za niezbędne dla siebie i proponuje potrójną zapłatę, jeżeli znajdzie się inny prelegent, któryby kontynuował owe odczyty, podług tegoż programu.

Ministerstwo Oświecenia publicznego zawiadomiło komisyją, że udziela upoważnienie na dwa odczyty dla dzieci, które ma mieć p. Toropygin. P. Niemirowicz-Danczenko oświadczył, że przedmiotem nowych jego odczytów będą następujące opisy i epizody: Odosobniona w górach osada łoparów, ich byt, przekonania religijne i cechy odrębne. — Zaczyna się wiosna i z nią przemysł właściwy tej porze roku. — Wiosna na brzegu jeziora — Prawo dziedziczenia u łoparów. — Polowanie na niedźwiedzie, renifery i borsuki. — Zima, osady wiejskie, wesela. — Podania i pieśni łoparów. — Jarmarki na jeziorze. — Obraz miejscowości wśród lasu. — Różnica pomiędzy łoparami a pomorzanami.

Następnie zapowiedziane zostały odczyty p. Karazina o kraju Turkiestańskim i o dolnej Syr-Daryi. Odczyty te objaśnione będą za pomocą całego szeregu obrazów artystycznych, przedstawiających wydarzenia z dziejów kraju i ułożonych podług wiadomości o kolonizacyi, o przejściu ludu koczującego do zatrudnień ogrodniczych, o stosunku rosyjan do mieszkańców miejscowych. Jednocześnie okazywane będą rozmaite sprzęty, używane przez krajowców.

Pułkownik sztabu jeneralnego Żyliński zakomunikował plan zamierzonych przez się odczytów o Polesiu, t. j. o bagnach pińskich, oszuszeniem których kieruje (jako były inżynier dróg komunikacyi). Przedmiotem tych odczytów będą: Przyczyny które zniewoliły Ministerstwo Dóbr Rządowych do przedsięwzięcia tych robót olbrzymich (roboty te dadzą Państwu kraj mający siedm razy tyle rozległości co Saksonija); dolina Prypeci, posłanie wyprawy, metoda badań, rezultaty tych ostatnich próby osuszenia i projektowany system kanalizacyi. Mieszkańcy tych miejscowości, odstrychnięci od reszty świata z powodu otaczających ich bagien, wód, lasów nieprzebytych, posiadają swoje odrębne cechy życia. Podczas wylewów przesiedlają się całemi wsiami; zmuszeni prowadzić swe bydło wpław na pastwisko; z powodu wilgoci, mieszkańcy tameczni smarują ciągle swe ciało dziegciem i cierpią bardzo na ospę, kołtun i febry epidemiczne, która rozprzestrzenia się stąd, jako ze szkodliwego źródła, daleko po za obręb prowincyi. Na drodze postępu znajdują się przeważnie włościanie, którym rozdano grunta bagniste. Dla zrobienia takowych przydatnemi do uprawy, kopią kanały i rowy, lecz nie posiadając wskazówek technicznych, obierają często kierunek horyzontalny, skąd pochodzi, że usiłowania ich nie odnoszą skutku. Znaczna liczba dróg nie jest niczem innem, jak czemś w rodzaju dna suchych kanałów. Pochodzi to stąd, że kilka zbudowanych w rozmaitych czasach dróg zapadło się i w ten sposób utworzyło się twarde dno. W innych zaś miejscach, podczas wylewu Prypeci i wpadających do niej rzek, całe obszary leśne uruchomiają się i tworzą wyspy pływające. O poziomie wód nie mają tam żadnego wyobrażenia; tak naprzykład panuje przekonanie, że jezioro Żyd, które zmienia wysokość swoich wód jednocześnie z Prypecią, ma jednaki z tą ostatnią poziom, podczas gdy dzieje się wręcz przeciwnie. Nareszcie, szereg niwelacyi przekonał o możności osuszenia bagien, podług nowego systemu, który odprowadzi wody z kotlin do rzek. W tych zaś ostatnich potrzeba będzie poznosić tamy młyńskie, które przeszkadzając w wielu miejscach prądowi i zatrzymując muł, tworzą nowe bagna.

* * *

Kobiety profesorki. Podług doniesienia *Moskiewskiej medycznej gazety*, dwie studentki wyższego kursu naukowego w zakładzie Girton-College; zdawszy egzamin ustny z filozofii i chemii w Cambridge, otrzymały miejsca nauczycielek. Jedna z nich, miss Kingland, córka duchownego inowierczego z Branford, mianowaną została adjunktem-profesorem nauk przyrodzonych i matematyki w samem Girton-College; druga zaś, panna Dowe, córka wikarego z Cowbit, powołaną została do wyższego zakładu naukowego dla kobiet w Cheltenham, na katedrę fizyjologii.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. *Sobolewskiemu. w Kownie.* Kalendarza nie przeznaczaliśmy dla tych którzy dostali powieść Pieniądz i Praca, lecz na skutek listu z d. 22 Stycznia takowy wysłaliśmy równie jak i Nr. 2.

Książka do nabożeństwa „Zdrowaś Maryja" tylko dla młodzieży płci męzkiej. Karta tytułowa będzie rozesłaną.

P. *Piotrowskiemu w Razrytoje.* Źródła Nilu oddawna wyczerpane, Kalendarz lubo nie należy, wysyłamy. Koniec powieści „*Pieniądz i Praca*" był wysłanym i nic nam nie pozostało.

P. *Sienkiewiczowi w Hrubieszowie* rs. 2 otrzymaliśmy i Opiekuna 1 Nr. wysłaliśmy.

P. *Obrąpalskiemu Mich. w Kamieńskoj* Opóźnione wysłanie Opiekuna spowodowała niedokładność adresu, oczekiwaliśmy na wskazanie takowego poczem wysłaliśmy zaraz.

Pani *Wandzie Grzybczyk* Tom 7 Wych. Dom. (Zoologija) po raz drugi posyłamy—Wypisy polskie drukują się i w krótce je pani otrzyma.

P. *M. A. na Ukrainie* Prosimy o korespondencyje. Z nadesłanej nie możemy korzystać bo oprócz wiadomości o wystawieniu po raz pierwszy przez trupę rossyjską opery Halka Moniuszki, nie obejmuje faktów lub powtarza rzeczy dobrze znane.

P. *Bucewicz w Charkowie* Nr. 1 wysłany.

Pani *Okulicz w Aleksowie* Zoologija czyli pierwsze poznajomienie się ze światem zwierzęcym w swym czasie była wysłaną, raczy Pani o nię upominać się na stacyi pocztowej.

P. *Modzelewskiemu w Sosnowicach* Nr. 38 48 i 50 z roku zeszłego znów posyłamy, mimo iż termin reklamowania o takowe dawno upłynął. Do powyższych numerów żadnych dodatków nie dołączaliśmy.

P. *Podlesieckiemu w Odesie* Nr. 13 33 43 i 45 posyłamy.

P. *Bergman w Chlewiakach* rs. 4 otrzymaliśmy wystarcza to na I-e półrocze — gdyż prenumerata roczna wynosi rs. 8.

P. *Sucharzewskiemu w Pastyrskiej* — Żądane braki wysłaliśmy powtórnie.

P. *Bronikowskiemu w Mglinie* Otrzymaliśmy rs. 5. obecna cena Opiekuna rocznie rs. 8.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.